

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 8 (503) 22 LUTEGO 1970 R.

Unia Utrechcka (*) ● Za wszelką cenę ● Odwiedziny w Wilanowie ● Picasso i Jan ● Telewizyjna kuchnia

CENA 2 Zł

Osiemnastowieczna ikona (Wiesbaden)



EWANGELIA

wg Mateusza (17, 1-9)

A po sześciu dniach zabrał Jezus ze sobą Piotra, Jakuba i Jana, brata jego, i zaprowadził ich w miejsce odosobnione na wysoką górę. Tam przemienił się wobec nich. Oblicze jego zajaśniało jak słońce, a szaty jego stały się lśniące jak światłość. Ukazał się im Mojżesz i Eliasz, którzy rozmawiali z nim. Wtedy odezwał się Piotr do Jezusa tymi słowami: „Panie, dobrze się stało, żeśmy się tu znaleźli; jeżeli chcesz, rozbij tu trzy namioty — dla ciebie jeden, dla Mojżesza jeden i dla Eliasza jeden.” Gdy jeszcze mówił, zakrył ich obłok świetlany, a z obłoku odezwał się głos: „Ten jest Syn mój miły, w którym mam upodobanie; jego słuchajcie!” Gdy uczniowie to usłyszeli, padli na twarz przejęci strachem. Jezus przystąpił i dotknąwszy ich przemówił do nich: „Wstańcie i nie lękajcie się”. A oni podniósłszy oczy nie widzieli nikogo, tylko samego Jezusa.

Nie od kogo innego jeno od Boga pochodził „głos z obłoku” zalecający słuchanie Jezusa Chrystusa jako Syna Bożego. Nie tylko trzej Apostołowie — świadkowie Chrystusowego „przemienienia” — zostali zobowiązani do tego posłuchu. Nakaz Boży odnosi się do wszystkich chrześcijan.

Słoneczny blask bijący z oblicza Zbawiciela na górze Tabor uzmysłowił w pierwszym rzędzie boskość Jego Osoby. Podkreślił jednak jednocześnie rolę Chrystusa w dziejach świata. Jest On niby słońcem, dającym życie, ciepło, a zarazem niezbędne, błogosławione światło, które — jak stwierdza Ewangelista

— „oświeca każdego człowieka przychodzącego na świat” (Jan 1, 9).

Światłem Chrystusowym jest Jego nauka. Jednym bowiem z wielu celów zejścia Syna Bożego na ziemię było nauczanie w zakresie życia religijno-moralnego. Nauka podana przez Chrystusa miała moc światła i zbawienia, co zostało podkreślone słowami: „Jeżeli będziecie trwać w nauce mojej... poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli” (Jan 8, 31 n.).

Ongiś prorok Izajasz pisał: „Duch Jahwe, Pana, nade mną, bo Jahwe mnie namaścił. Posłał mnie, bym głosił dobrą nowinę ubogim, bym opatrywał rany serc złamanych, bym zapowiadał wyzwolenie jeńcom, a więzniom — swobodę; bym oznajmiał rok łaski u Jahwe i dzień pomsty dla naszego Boga; bym pocieszał wszystkich zasmuconych, bym dawał wieniec zamiast popiołu, olejek radości zamiast szaty smutku, pieśń chwały zamiast zgnębienia na duchu...” (Izaj. 61, 1-3). Te właśnie słowa odczytał Jezus Chrystus w synagodze Nazaretu na początku swej działalności publicznej i powiedział do wpatrzonych w siebie słuchaczy: „Dzisiaj spełniły się te słowa Pisma, któreście słyszeli”. Odpowiedzią zarozumiałych nazaretan było wydalenie Jezusa z miasta i chęć zabicia Go, co przecież wcale nie oznaczało, że On miał rację. Bo właśnie „po to się narodził” po to przyszedł na świat, aby dawać świadectwo

KOŚCIÓŁ W ŚWIECIE

Ekumeniczny Dzień Młodzieży w Warszawie

Sekcja Młodzieżowa Komisji Wychowania Chrześcijańskiego Polskiej Rady Ekumenicznej zorganizowała 26 stycznia br. w Warszawie Ekumeniczny Dzień Młodzieży. Program spotkania był bardzo bogaty i starannie przygotowany. Kierownik Sekcji Młodzieżowej, ks. Jan Walter wygłosił referat o ekumenizmie. Poza tym uczestnicy wysłuchali kilku pieśni religijnych i dobrze opracowanego deklamatorium. W spotkaniu wzięli udział m. in. ks. bp Jan Niewieczera — prezes Polskiej Rady Ekumenicznej, ks. Aleksander Kircuń — przewodniczący Komisji Wychowania Chrześcijańskiego i ks. doc. Witold Benedyktowicz — superintendent generalny Kościoła Metodystycznego. Ekumeniczny Dzień Młodzieży zgromadził ogółem 90 przedstawicieli młodzieży, członków Kościołów zrzeszonych w Polskiej Radzie Ekumenicznej. Sekcja Młodzieżowa planuje organizowanie takich spotkań także w terenie. W Warszawie mają się one odbywać raz na miesiąc.

Konferencja pokojowa religii światowych

Konferencja religii światowych poświęcona sprawom pokoju, która pierwotnie miała się odbyć na początku jesieni br. w Japonii, została przesunięta na 16-21 października. Organizatorzy konferencji postanowili zmienić

termin dlatego, iż w związku z wystawą światową „Expo 70” w Osace przewiduje się możliwość rozruchów studenckich. Wystawa światowa trwać będzie do 15 września br.

Nowy metropolita Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego

Informowaliśmy już, że Święty Sobór Biskupów Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego dokonał 24 stycznia br. wyboru nowego metropolity — zwierzchnika Kościoła. Został nim dotychczasowy ordynariusz diecezji Wrocławsko-Szczecińskiej — ks. bp Bazyl.

Ks. bp Bazyl urodził się 15 marca 1914 r. w Cisach pow. Bielsk Podlaski. W 1936 r. ukończył seminarium duchowne w Wilnie i rozpoczął studia na Uniwersytecie Warszawskim, na prawosławnym fakultecie teologicznym. W 1938 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Do 1943 r. pełnił różne funkcje duszpasterskie. W 1943 r. otrzymał nominację na proboszcza parafii w Michałowie. W latach 1946-1960 był proboszczem w Gródku k. Białegostoku, gdzie wybudował znaną cerkiew. W 1960 r., po złożeniu ślubów zakonnych, został powołany na stanowisko sufragana diecezji Warszawsko-Bielskiej. Będąc biskupem złożył pracę i egzamin magisterski w Akademii Duchownej w Zagorsku k. Moskwy. W 1961 r.

został ordynariuszem diecezji Wrocławsko-Szczecińskiej z siedzibą we Wrocławiu i pełnił tę funkcję do wybrania go metropolitą Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego.

Ks. Metropolita jest znany ze swej otwartej postawy ekumenicznej, czemu niejednokrotnie dał wyraz w czasie spotkań z wyznawcami innych Kościołów chrześcijańskich w naszym kraju.

Ekumeniczny Tydzień Modlitwy o Jedność Chrześcijan

W czasie tegorocznego Tygodnia Modlitwy o Jedność Chrześcijan, który trwał od 18-25 stycznia, odbyło się w kościołach stołecznych i w terenie wiele wspólnych nabożeństw. Charakteryzowała je liczniejsza niż w latach ubiegłych frekwencja oraz prawdziwie ekumeniczna atmosfera. W Warszawie Tydzień Modlitwy zapoczątkowany został uroczystą Mszą św. odprawioną w katedrze Kościoła Polskokatolickiego. W czasie ostatniego nabożeństwa odprawionego w katedrze Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego przemówienie wygłosił prezes Polskiej Rady Ekumenicznej, ks. bp Jan Niewieczera. Złożył on serdeczne życzenia błogosławieństwa Bożego nowo obranemu prawosławnemu Metropolicie Warszawskiemu i całej polskiej, Bazyliemu. Także do modlitwy, ks. bp Niewieczera dołączył prośbę o pomyślny rozwój brat-

niego Kościoła Prawosławnego i o opiekę Bożą nad jego Metropolitą. Następnie ks. metropolita Bazyl przemówił do zebranych w duchu ekumenicznym, podkreślając znaczenie wspólnej pracy dla dobra Kościoła Chrystusowego, w myśl hasła Ekumenicznego Tygodnia Modlitwy „Albowiem współpracownikami Bożymi jesteśmy”.

Po nabożeństwie zwierzchnicy Kościołów zrzeszonych w Polskiej Radzie Ekumenicznej składali życzenia nowemu Metropolicie.

Dr Blake pozytywnie ocenia postawę przywódcy Nigerii

Dr Eugene C. Blake, sekretarz generalny Światowej Rady Kościołów, wyraził się z uznaniem o pojednawczej postawie przywódcy państwa nigeryjskiego, gen. Gowona, wobec plemienia Ibo z Biafry. Zdaniem Blake'a pozytywnie należy ocenić fakt, iż Gowon zażądał od niegeryjskich jednostek wojskowych pozanawiania życia ludzkiego na niedawno opanowanym terenie biafrańskim. W piśmie do przywódcy Nigerii, którego odpis otrzymały również Rada Chrześcijańska tego kraju i Ogólnoafrkańska Konferencja Kościołów, czytamy m. in.: „Jestem przekonany, że Pana pojednawcza postawa wobec narodu Ibo i natychmiastowe wprowadzenie Pańskiego rozkazu w armii zostaną przyjęte z wdzięcznością i nadzieją przez wszystkich miłujących pokój ludzi”.

Jego słuchajcie

II NIEDZIELA WIELKIEGO POSTU

prawdzie" (Jan 18, 37), aby głosić „dobrą nowinę”, aby uczyć. I to zadanie spełnił.

Podał zasady wiary, zasady moralne i zręby religijnego kultu. Uczył, że Bóg jest nie tylko jedyny i potężny, lecz, że jest najlepszym z ojców i to dla wszystkich ludzi, wszystkich narodów. Postawił za przykazanie podstawowe wzajemną życzliwość ludzi, nazywaną „miłością bliźniego”. Ta zasada miała odrodzić ludzkosć kierującą się samolubstwem i fanatyzmem bądź narodowym, bądź klasowym i wyznaniowym. Chrystus ocenił wartość człowieka według jego stosunku do innych ludzi, urodzonych „niżej”, mających inną skórę, żyjących w nędzy. To zdecydowało o ich losie pośmiertnym: „Pójdźcie, błogosławieni Ojca mego, weźcie w posiadanie królestwo przygotowane dla was od założenia świata. Bo byłem głodny, a daliście mi jeść; byłem spragniony, a daliście mi pić...” (Mat. 25, 34-40). Jakże piękne, a zarazem jak proste jest Chrystusowe kazanie o błogosławionych: Są nimi ubodzy, smutni, ciśni, spragnieni sprawiedliwości, miłosierni, pokój czyniący, cierpiący prześladowanie, mający czyste serce (Mat. 5, 3-11). Według zasad Chrystusowej etyki nie wystarczy wystrzymać chęć zabijania, żądzę cudzołożenia, skłonność do krzywoprzysięstwa. Należy hamować każdy gniew, każde spojrzenie połamane, każde kłamstwo. Nieprzyjaciół nie tylko nie wolno zabijać, ale trzeba im nawet „dobrze czynić”, by się upodobnić do Ojca

w niebiesiach, który „sprawia, że słońce wschodzi nad złymi i nad dobrymi” i który „zysła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych” (Mat. 5, 21-48).

Ale Chrystus poszedł jeszcze dalej. Radził szukać dobrowolnego ubóstwa i dobrowolnego dziewictwa, chwalił pokorę, prostotę, skromność, cierpliwość i cichość, przy czym za wzór stawiał Siebie: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a ja was pokrzepię. Weźcie moje jarzmo i przyjmijcie moją naukę, bo jestem łagodny i pokorny sercem, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych. Albowiem moje jarzmo jest słodkie, a moje brzemię lekkie” (Mat. 11, 28-30).

On bowiem uczył nie tylko słowem. Uczył też własnym przykładem. Nie bacząc na trudy, niewygody, bez oglądania się na jakąkolwiek korzyść osobistą, chodził po całej Palestynie pieszo i boso, by ulżyć doli najbiedniejszych. Modlił się za osobistych wrogów, piętnował szkodników społecznych, oddał życie za głoszoną prawdę niewygodną, możliwym tego świata. Miał więc prawo mówić: „Kto nie bierze swego krzyża i nie idzie za mną, nie jest mnie godzien” (Mat. 10, 38). Owszem, życie wieczne zapewnił prześladowanym za wiarę i postępowanie według Jego nauki: „Błogosławieni jesteście, gdy wam urągają i prześladowają, gdyż wtedy wy będziecie się cieszyć i radzić, a wasz nagroda wielka jest w niebie” (Mat. 5, 11 n.).

go powodu. Cieszcie się i radujcie, albowiem wasza nagroda wielka jest w niebie” (Mat. 5, 11 n.).

Gdy więc chrześcijanie rozumieją wezwania Boże w Ewangelii Chrystusa: „Jego słuchajcie” — nie mają wątpliwości, nie znają wahań na rozdrożu, lecz idą za Zbawicielem z ufnością Jego uczniów: „Panie, do kogóż pójdziemy? Słowa życia wiecznego masz. A myśmy uwierzyli i poznali, że Ty jesteś Świętym Bogiem” (Jan. 6, 68).

Ks. S. WŁODARSKI

LUTY

22	N.	Piotra
23	P.	Piotra, Damiana
24	W.	Macieja
25	S.	Wiktora
26	Cz.	Aleksandra, Mirosława
27	P.	Gabriela
28	S.	Makara, Romana

Wizyta pastora Binetscha w Polsce

Pod koniec stycznia br. przybył do Polski pastor Albrecht Binetsch z Stuttgartu. Jest on znanym działaczem Ewangelickiego Kościoła w Wirtembergii, gdzie zorganizował szereg spotkań poświęconych naszemu krajowi. W ubiegłym roku był jednym z głównych organizatorów ewangelickiego Kirchentagu w NRF, w czasie którego uchwalono apel skierowany do rządu bolszewickiego w sprawie uznania granic na Odrze i Nysie.

Podczas pobytu w Polsce pastor Binetsch odwiedził kolejno Kraków, Oświęcim i Warszawę. Przeprowadził wiele rozmów zarówno z przedstawicielami władz państwowych, jak i kościelnych.

Delegacja organizacji „Akcja Pokuty” z NRF u min. J. Wieczorka

W dniach 21-23 stycznia br. przebywała w Warszawie z wizytą oficjalną delegacja organizacji działającej na terenie NRF pod nazwą „Akcja Pokuty” (Aktion Sühnezeichen). Delegacja ta została przyjęta m. in. przez przewodniczącą Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa min. J. Wieczorka. W czasie wizyty przewodniczący tej organizacji dr F. von Hammerstein wręczył min. Wieczorkowi tekst apelu, w którym w 25 rocznicę zwycięskiego zakończenia wojny z hitleryzmem, „Akcja Pokuty” wzywa społeczeństwo niemieckie do wyciągnięcia wniosków z

wojny rozpoczętej i przegranej przez militarizm niemiecki oraz do wzmocnienia wysiłków na rzecz zapewnienia pokoju w Europie.

W apelu zawarte są m. in. żądania: całkowitego anulowania układu monachijskiego, uznania granicy na Odrze i Nysie jako granicy ostatecznej oraz jak najszybszego rozpoczęcia rozmów między NRD i NRF na temat współżycia opartego na zasadach prawa międzynarodowego.

Dr F. von Hammerstein — w imieniu swej organizacji — wręczył min. Wieczorkowi czek na 10 tys. marek zachodnich z przeznaczeniem na Centrum Zdrowia Dziecka.

Dialog prawosławia z Kościołem Etiopskim

Pod honorowym patronatem etiopskiego następcy tronu Asfy Wesena powołano do życia w Addis Abebie z inicjatywy patriarchatu grecko-prawosławnego Aleksandra i patriarchy Etiopii — Basileiosa I „Towarzystwo Studiów Grecko-Etiopskich”. Zadaniem Towarzystwa ma być pielegnacja dialogu teologicznego i współpracy naukowej między prawosławiem greckim a chrześcijaństwem koptyjskim Etiopii. Członkami Towarzystwa, którym przewodniczyć będzie patriarcha aleksandryjski Mikołaj VI, są członkowie teologii i biskupi obu Kościołów.

Chrystus w Ogrójen. Poliptyk Dominikański, ok. 1460 r. Kraków





Ks. Julian Pękala — Biskup Naczelny Kościoła
Polskokatolickiego

Unia Utrechcka

Początki Kościoła Polskokatolickiego sięgają roku 1919. Wówczas przybył do Polski, delegowany przez Pierwszego Biskupa Franciszka HODURĄ, kapłan Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego w Ameryce, nazwiskiem Bronisław KRUPSKI. Zasadnicze jednak fundamenty organizacyjne Kościoła Narodowego w Polsce założył w latach 1922—1927 biskup Franciszek BOŃCZAK. Jego następcą został biskup Władysław FARON — konsekrowany w Scranton, PA w 1930 r. przez Pierwszego Biskupa. Fr. Hodurą.

Na skutek odstępstwa od ideologii PNKK, Rada Kościoła na nadzwyczajnej sesji odbytej w 1931 r. w Krakowie, zawiesiła biskupa Farona w czynnościach biskupich. Wówczas kierownictwo Kościoła w Polsce przejął biskup Józef PADEWSKI, który kierował Kościołem do 1951 roku.

Synod Kościoła odbyty w Warszawie w grudniu 1952 roku powierzył stanowisko Ordynariusza Kościoła w Polsce biskupowi Julianowi PEKALI na okres do następnego Synodu w 1959 r., gdy Ordynariuszem Kościoła został biskup Maksymilian RODE.

Na Ogólnopolskim Piątym Synodzie Kościoła w dniu 5 lipca 1966 r. naczelnym biskupem Kościoła został ponownie biskup Julian PEKALA. Stanowisko Ordynariusza Diecezji Warszawskiej powierzono wtedy biskupowi

Tadeuszowi Ryszardowi MAJEWSKIEMU — dotychczasowemu wikariuszowi generalnemu Diecezji Krakowskiej (1962—1966). W tym okresie bowiem podzielono Kościół administracyjnie na trzy diecezje. Dwie pozostałe — krakowska i wrocławska — posiadają administratorów.

SUKCESJA APOSTOLSKA

Kościół Polskokatolicki w PRL uzyskał sukcesję apostolską od episkopatu Kościoła Starokatolickiego w Holandii przez episkopat PNKK w Ameryce. Stało się to po raz pierwszy w dniu 29 września 1907 r., gdy w utrechckiej katedrze sakrę biskupią otrzymał ks. elekt Franciszek Hodur z rąk arcybiskupa Utrechtu Gerarda GULLA (1892—1920) — i dwóch innych biskupów starokatolickich Holandii.

Z tego samego źródła sakrę biskupią otrzymał w dniu 4 września 1910 r. biskup Starokatolickiego Kościoła Mariawitów ks. dr Jakub PRÓCHNIEWSKI, który w pewnym okresie (1951—1952) święcił kapłanów i konsekrował biskupów Kościoła Polskokatolickiego, m.in. konsekrował biskupa Juliana PEKALĘ, w grudniu 1952. Biskupa dr Maksymiliana RODEGO konsekrował w Utrechcie biskup dr Leon GROCHOWSKI, któremu

sakry udzielił biskup Fr. HODUR w sierpniu 1924 r. Biskup Tadeusz R. MAJEWSKI sukcesję swoją również wywodzi z tego samego źródła.

Sakry biskupie wszystkich wyżej wymienionych biskupów zostały udzielone przy współudziale innych biskupów posiadających niewątpliwą sukcesję apostolską. **FORMALNOŚCI ZWIĄZANE Z UDZIELENIEM SAKRY BISKUPIEJ W KOŚCIOŁACH STAROKATOLICKICH UNII UTRECHCKIEJ.**

Kandydat na elekta musi być wybrany przez Synod danego, krajowego Kościoła względnie przez Kapitułę Kościoła w głosowaniu tajnym. Wybrany elekt wobec Synodu względnie Kapituły składa wyznanie wiary i ślubowanie na wierność Kościołowi. Wybór biskupa elekta jest potwierdzany na piśmie przez Prezydium Synodu względnie przez Kapitułę Kościoła.

Wiadomość o wyborze każdego nowego biskupa publikuje się w piśmie ogólnym do wszystkich biskupów wchodzących w skład Międzynarodowej Konferencji Biskupów Starokatolickich Unii Utrechckiej. Po przyjęciu do zatwierdzającej wiadomości faktu prawnego wyboru zostaje wyznaczona data konsekracji biskupiej. Przed konsekracją jest obowiązkowo odczytywany protokół Synodu dotyczący wyboru elekta oraz zgoda naczelnych władz Kościoła na udzielenie sakry biskupiej.

Według nauki Kościoła Starokatolickiego Duch św. działa na biskupa przez Jego Kościół i dla Kościoła — Ludu Bożego, dlatego sakra biskupia jest ważnie udzielana tylko za zgodą całego Kościoła.

Do święceń kapłańskich w Kościele Polskokatolickim dopuszcza kleryków studiujących w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej (na Sekcji Starokatolickiej) — Rada Kościoła po przedstawieniu kandydatów i wysłuchaniu opinii kierownika Sekcji.

IDEOLOGIA KOŚCIOŁA POLSKOKATOLICKIEGO

Nie ulega wątpliwości, że Kościół ten nie ma rodowodu ściśle starokatolickiego.

Nie został zorganizowany bowiem z tych samych przesłanek, co autentyczny ruch starokatolicki w krajach Środkowej Europy, mianowicie jako protest przeciwko nowym dogmatom (przywilejom) papieskim ogłoszonym w związku z Pierwszym Soborem Watykańskim w 1870 r.

U źródeł polskokatolicyzmu leżą także takie problemy jak patriotyzm i obrona polskiego wierzącego katolika przed krzywdą ze strony krajowych episkopatów w USA i w Polsce.

Jednakże ideologia polskokatolicyzmu spotyka się z ideologią starokatolicką na wspólnej drodze nauki wiary i przywiązania do starochrześcijańskich zasad życia kościelnego. Różnica więc między nimi jest raczej formalna, nieistotna. Widać to wyraźnie w uzasadnieniu pewnych wspólnych punktów. I tak zarówno starokatolicyzm jak i polskokatolicyzm odrzucają np. prymat jurysdykcji biskupa Rzymu, lecz uzasadniają to z odmiennych pozycji: Starokatolicyzm odrzuca ten dogmat dlatego, że jest błędem teologicznym (katechizmowym), a polskokatolicyzm — dlatego, że prymat ten jest szkodliwy również i ze względów patriotycznych (szkodliwy interesom naszej Ojczyzny). To samo jest z innymi zasadami. Np. językiem liturgicznym jest mowa ojczysta, lecz u starokatolików broni się jej z racji starochrześcijańskiej tradycji a u polskokatolików — z u-miłowania języka polskiego.

Te odrębności formalne stały się „powodem do ustalenia obecnej nazwy: Kościół Polskokatolicki zamiast Kościół Starokatolicki w Polsce. Niemniej należy pamiętać, że polskokatolicyzm nie zamierza lekceważyć zasadniczej tezy obowiązującej i zgodnie przestrzeganej przez wszystkie Kościoły Unii Utrechckiej, mianowicie: „Należy się mocno trzymać tego i w to wierzyć, w co zawsze, wszędzie i wszyscy wierzyli. To jest bowiem katolickie”. (Św. Wincenty z Lerynu). Tę tezę Unia Utrechcka postawiła w 1889 r. na czele swojej Deklaracji obowiązującej po dziś dzień wszystkie Kościoły wchodzące w skład Unii.

OFICJALNA WYMIANA LISTÓW MIĘDZY UTRECHTEM A RZYMEM

Z okazji wyboru ks. prof. Marinusa Koka arcybiskupem-koadiutorem Utrechtu (por. „Rodzima” nr 50 z 14 XII 1969 r., nr 4 z 25. I. 1970 r. i nr 5 z 1. II. 1970 r.) doszło po raz pierwszy, od czasu schizmy w 1723 r. między Rzymem a Utrechtem, do oficjalnej wymiany listów między tymi dwoma ośrodkami katolicyzmu.

Papież Paweł VI wystosował do Kapituły Metropolitarnej w Utrechcie oficjalne pismo z życzeniami dla ks. arcybiskupa Koka i przesłał mu dar w postaci fotokopii Kodeksu Watykańskiego, sławnego greckiego rękopisu Biblii z IV stulecia. Pismo papieża, datowane na dzień święceń oraz dar dziekanowi Utrechckiej Kapituły Metropolitarnej, ks. prof. dr P. J. Maanowi, przekazał w przeddzień święceń, 6 grudnia ub. r., sekretarz internuncjusza papieskiego w Utrechcie.

Utrechcka Kapituła Metropolitar-na, po raz pierwszy od 1893 r., powiadomiła oficjalnie papieża w

piśmie z 18 listopada 1969 r. o wyborze i planowanej sakrze nowego arcybiskupa-koadiutóra Utrechtu.

Do schizmy między Rzymem a Utrechtem doszło dlatego, że po dłuższym wakacie na stanowisku biskupa, Utrechcka Kapituła Metropolitar-na dokonała w 1723 r., niezależnie od Rzymu wyborów, zgodnie z prawem przysługującym jej od IX wieku. Papież nałożył wówczas klątwę na hierarchię utrechcką. Mimo to Kościół Utrechcki powiadamiał papieża o każdym nowym wyborze i konsekracji arcybiskupa Utrechtu i innych biskupów holenderskich. Ponieważ papież odpowiadał za każdym razem bullą ekskomunikacyjną, datęgo od wyboru biskupa Deventer — Spita w 1893 r. zrezygnowano z zawiadamiania. Od oficjalnego spotkania między Rzymem a Utrechtem w listopadzie 1966 r. i powołania wspólnej Komisji obu Kościołów powstały nowe możliwości zbliżenia na płaszczyźnie oficjalnej. Utrechcka Kapituła Metropolitar-na powróciła ponownie do zwyczaju zaniechanego w 1893 r. i powiadomiła Rzym o wyborze i

konsekracji arcybiskupa-koadiutóra Koka, na co po raz pierwszy od 1723 r. otrzymała w odpowiedzi nie bullę ekskomunikacyjną, lecz list z serdecznymi życzeniami papieskimi. Pełny tekst obu pism zamieszczamy obok.

Ks. arcybiskup-koadiutor Marinus Kok wygłosił po swojej konsekracji przemówienie, którego ważniejsze fragmenty pragniemy tutaj przytoczyć:

„Jako katolicki biskup w Kościele Bożym pragnę zwiastować powierzona mi Ewangelię, wzbudzić wiarę, wzmacniać nadzieję, ponad wszystko jednak wynosić miłość Chrystusową. „Maior Caritas!” — niech będzie to moim hasłem z okazji wyboru. W tej miłości Chrystusowej widzę i czuję się związany z wszystkimi, którzy należą do Chrystusa. Uważam się za sługę całego Kościoła Chrystusowego, ekumenii”.

„Jak Ambroży, który blisko 1600 lat temu został wyswięcony tego samego dnia, pragnę, by

dom mój stał otworem dla każdego. My ludzie możemy powodować niezgodę, wszelako sam Chrystus zna jedną owocarnię i jednego pasterza. Bardzo cieszę mnie zatem fakt, iż widzę tutaj przedstawicieli Rzymu, prawosławia i Kościołów reformatorskich”.

„Bardzo ściśle są nasze stosunki z Kościołem Anglii i innymi Kościołami Wspólnoty Anglikańskiej i jestem wdzięczny za przybycie jej przedstawiciela, biskupa Winchesteru”.

„To, że biskup Rzymu, papież Paweł VI, w piśmie osobistym z okazji mojej konsekracji wypowiedział serdeczne życzenia napełnia mnie wdzięcznością i nadzieją na przyszłość”.

„Jako lud Boży znajdujemy się w drodze, zewnątrz jesteśmy jeszcze rozdzieleni, lecz wewnątrz tworzymy jedność w Chrystusie. Wykężę wszystkie wysiłki, aby jedność, o którą pyta współczesny świat, nabrała realnych kształtów i treści”.

Kapituła Metropolitar-na Kościoła Utrechckiego Jego Świątobliwość Papież Paweł VI Citta del Vaticano

Ojciec Święty!

Podpisany niżej, Dziekan Kapituły Metropolitarnej Kościoła Starokatolickiego Holandii, ma zaszczyt przesłać Wam pełne oddania pozdrowienia i poinformować Waszą Świątobliwość, co następuje:

Arcybiskup naszego Kościoła, Jego Ekscelencja dr Andrzej Rinkel, który osiągnął 80 rok życia, postanowił ze względu na swój wiek przejść w ustalonym terminie w stan spoczynku, a do tego czasu przybrać do pomocy koadiutóra z prawem następcy.

W oparciu o to postanowienie Kapituła Metropolitar-na przygotowała wybór biskupa-koadiutóra, zgodnie z regułami prawa kościelnego.

28 października, w święto Apostołów Szymona i Judasza, odbyły się wybory w kościele katedralnym Utrechtu w obecności duchowieństwa i licznych rzesz wiernych, w wyniku których wybrany został Najprzewielebniejszy Kanonik profesor Marinus Kok, rektor seminarium w Amersfoort. Pełni wdzięczności możemy powiadomić Waszą Świątobliwość, że wybrany przyjął nominację i że konsekracja przewidziana jest na 7 grudnia, w święto św. Ambrożego, który niegdyś, jak Wasza Świątobliwość, był biskupem Mediolanu.

Powiadając Waszą Świątobliwość o tej konsekracji, pragniemy dać wyraz naszej wielkiej radości z powodu nowych stosunków między naszym Kościołem i Kościołem Rzymu i prosimy Waszą Świątobliwość, aby zechciała pamiętać w swoich modlitwach o przyszłym biskupie.

Z głębokim szacunkiem i z najlepszymi życzeniami dla Waszej Świątobliwości pozostaje profesorem dr P. J. Maan — Dziekan Kapituły

Papież Paweł VI do Kapituły Metropolitarnej Kościoła Starokatolickiego Holandii

Z wruszeniem odebraliśmy list, który Wasz Dziekan, Najprzewielebniejszy Kanonik Maan, przesłał nam za pośrednictwem naszego Sekretariatu do Spraw Jedności Chrześcijan i przez który powiadamiacie nas o wyborze Najprzewielebniejszego Kanonika Marinusa Koka na biskupa-koadiutóra Jego Ekscelencji Msgr. Andrzeja Rinkla.

Jesteśmy bardzo ujęci tym listem, który przyjęliśmy z uczuciem chrześcijańskiego braterstwa. Traktujemy go za jeden z owoców II Ekumenicznego Soboru Watykańskiego, w którym od samego początku uczestniczyli obserwatorzy Waszego Kościoła, a w szczególności Dziekan Waszej Kapituły. Z całego serca błagamy dziś św. Ambrożego, naszego świętego poprzednika na Stolicy Mediolańskiej, o urząd pasterski dla nowego biskupa.

Prosimy Pana, by błogosławił podejmowane przez Was starania zmierzające do rozwinięcia coraz bardziej braterskich stosunków z Kościołem Rzymskokatolickim. I mamy nadzieję, że ten, którego wybraliście do wypełniania zadań pasterskich w Waszym Kościele zapagnie za pomocą sprawowanego przez siebie urzędu przyczynić się do takiego rozwoju stosunków, które ostatecznie — czego życzymy sobie z całego serca — doprowadzą w dniu wyznaczonym przez Pana do ustanowienia pełnej społeczności między naszymi Kościołami.

Na zakończenie prosimy Was o przekazanie złączonego upominku nowemu biskupowi jako symbolu naszej wspólnej miłości Chrystusowej i naszej jedności w modlitwie.

Z Watykanu, 7 grudnia 1969 r.
Paweł VI

Przekład z „Alt-Katholischer Internationaler Informationsdienst” (AKID) nr 166—167 z 27.XII.1969 r.
Tłum.: K. Kar.



Rozmyślania
przy
kominku

Do woja marsz...

Bywały ongiś cudowne dzieci, bywały. Rzecz jednak w tym, że „bywały” sporadycznie a teraz cudownie się rozmnożyły i istnieją nagminnie. Wystarczy zapytać pierwszą z brzegu mamusię, aby się o tym ostatecznie upewnić.

Z „cudownym dzieckiem”, jak nas uczą dzieje jest mnóstwo trosk i kłopotów. Ale gdy się to cudo pomnoży przez ileś tam milionów — no, to dopiero jest klęska. W dodatku lata mijają i nadchodzi nieuchronny moment, gdy trzeba się zdecydować — czy jest jeszcze naszą „kruszywką” czy to już kawał chłopca pod wąsem, na którego czeka wojsko.

Nasza pani Teresa nie ma pod tym względem żadnych wątpliwości. Wezwanie do stawienia się syna celem rejestracji przedpoborowych, przyjęła jako grom z jasnego nieba i niecny zamach na jej dziecinę. W domu nastąpił sądny dzień. Pani Teresa przerażona i zrozpaczona konsultowała się przez telefon z przyjaciółkami, co robić. Czy iść „tam” osobiście i tłumaczyć, że to jeszcze dziecko, czy podjąć starania, aby uzyskać jakieś zaświadczenie lekarskie, że dziecie jest słabe i nieuleczalnie chore? — ale jak to zrobić — chłop ma 1,80 m. wzrostu, trenuje boks i już do i nie pamięta kiedy ostatni raz chorował (chyba, że za chorobę przyjęć wybiecie ręki itp.).

A może oświadczyć, że jest on jedynym opiekunem zgrzybiałych rodziców? Jednak i ten sposób może być zawodny. Dziecie nie uczy się i nie pracuje oficjalnie, a oni oboje? No cóż, — są w sile wieku i to w dodatku produkcyjnego. Koniec świata.

Więc martwi się i popłakuje pani Teresa, aż przykro pa-

trzeć. Nauczyłem się już czytać w jej twarzy, jak w otwartej książce. Dwie pionowe zmarszczki na czole, zaciśnięte usta i bolesciwe westchnienia unoszące raz po raz pierś — to oczywiście Andrzej. A wzruszenie ramionami i machnięcie ręki — to odpowiedź na nasze sugestie w tej sprawie.

Trudno, pani Teresa wie lepiej. Wiedziała lepiej, gdy posłała Andrzeja do liceum ogólnokształcącego, podczas gdy gros jego kolegów poszło do techników, i wtedy gdy kazała mu chodzić na prywatne lekcje gry na fortepianie (zanim nie umknął) i wówczas też gdy namówiła go, by po maturze złożył papiery na wydział Archeologii Śródziemnomorskiej — bo to takie emocjonujące.

Andrzej oczywiście nie dostał się na studia. Gdyby to była Politechnika i wydział mechaniczny — to kto wie, bo zawsze miał „smykalkę” do samochodów — ale archeologia?

Pani Teresa zwierzała się koleżankom z tajemnych awersji jakie podobno komisja Egzaminacyjna czuła wobec jej dziecka. Nie zmieniło to jednak niczego. Andrzej nie studiował, do szkoły pomaturalnej nie poszedł, pracy nie rozpoczął. Mama kazała mu uczyć się, aby móc zdawać raz jeszcze.

No i „uczył się” — aż huk szedł. Z koleżkami, w kawiarniach, na prywatkach, przy magnetofonie i „sikaczu” całymi nocami i dniami. Matka płakała, ojciec narzekał, Andrzej puszczał to mimo uszu — i tak trwało dopóki nie poznał Aliny. Uczęszczała do Technikum Chemicznego, a brat jej „dłubał” w małym warsztacie samochodowym.

Już wkrótce pani Teresa miała nowy powód do narze-

kań. Chłopak zamiast się „uczyć” wsiąkał na całe dnie w warsztacie, przychodził uśmieślony, a nawet zaczął przynosić po parę złotych. — Mechanikiem chce zostać — biadała — w silnikach grzebać zamiast sobie do Egiptu z archeologami jeździć. Zgroza.

No i jeszcze to wojsko. Nie pomogły płacze. Andrzej złożył ankietę, podał w niej, że interesuje go mechanika samochodowa i bardzo zadowolony z siebie oświadczył, że na jesieni idzie „do woja”.

Dodatkową niespodziankę pani Teresie sprawił, w tym trudnym okresie — mąż. Wróciwszy kiedyś później z pracy zastała ich obu rozmawiających, w najlepszej komitywie. Ojciec zaśmiewając się opowiadał coś o swoim sierżancie-szefie, a syn właśnie rozpoczynał relację, jaką z nim, jako już pełnoprawnym przedpoborowym, przeprowadzono.

Pani Teresa nie zauważona stała w drzwiach i słuchała, że teraz to „nie ma tak prosto”. Po komisji lekarskiej idzie się na kurs specjalistyczny, o dopiero potem, już z przedziałem, do woja.

— Jak odślużę, mówił Andrzej — to wyjdę z zawodem w rękę. A potem to już się zobaczy, czy się będę dalej uczył, czy pracował.

— Co ty gadasz? — rzuciła się pani Teresa. — Musisz przecież zdawać. To po to wysłałam cię do liceum, abys teraz w silnikach grzebał.

— Nigdy nie chciałem iść ani do liceum, ani na archeologię — odpalił syn. — Gdybym skończył technikum, to bym zdawał dalej. A tak, nie ma o czym mówić. Idę do woja.

A mąż, ten zdrajca, który kiedyś tak słabo protestował, gdy pani Teresa umieszczała syna w liceum, teraz wstał i powiedział złościwie:

— Już tam w wojsku nadrobisz to, co matka zepsuła. Zawód w rękę dadzą, na czołwieka wychowają. Uczyć się dalej, może po służbie, a teraz jakby tak jeszcze dłużej w domu posiedział, to nie wiadomo jakby się skończyło.

— Przecież pracuję — zaproteściwał Andrzej.

— Bo sam pracę znalazłeś. Matka by cię dalej w domu trzymała.

— Chciałam, żeby zdawał w tym roku.

— Nie ma sensu mam — odparł Andrzej. — Na Politechnikę za mało umiem, na archeologię nie chcę.

— Teraz choćbyś chciał, to już nie możesz. Już cię oni nie puszcza.

— Nieprawda. Ci wszyscy, którzy będą zdawali w tym roku na uczelnie, mają się zgłosić dopiero po uzyskaniu wyników egzaminów. Nikt ich nigdzie siłą nie ciągnie. Dostaną się na uczelnie — dobrze. Nie dostaną — no to do służby. Ale ja nie chciałem czekać. Bo i na co? Moja szansa — to wojsko.

I poszedł dzwonić do Aliny. A mijając Teresę mrugnął i zagwizdał „Przyjedź mamę na przysięgę”.

Teresa stała bez słowa i było jej jakoś dziwnie na duszy. Sama nie wiedziała dlaczego.

HABER

Za wszelką cenę

Gazeta codzienna podała w kronice wypadków króciutki komunikat: „Zjeżdżając na rowerku z wysokiej góry, wznoszącej się za rogatkami naszego miasta, przewrócił się i doznał ciężkich okaleczeń ciała 9-letni Broniek K. Dziecko zmarło w szpitalu, nie odzyskawszy przytomności.”

Przyjrzyjmy się bliżej tej sprawie i spróbujmy ustalić, kto ponosi odpowiedzialność, jeśli nie prawną, to przynajmniej moralną, za śmierć chłopca?

Tego dnia, o godz. 16 minut 15, do budki telefonicznej wszedł mężczyzna i wykręcił jakiś numer. W słuchawce odezwał się dziecięcy głos: — Słucham. Dalszy ciąg rozmowy wyglądał tak:

— To ty Bronieczku? Cześć.

— Nie zadawaj mi głupiego pytania. Wiesz przecież dobrze, że to ja.

— Dobrze, dobrze syneczku, nie dyskutuj ze mną, tylko wyjdź szybko. Czekam na ciebie na ulicy, przed domem.

— Jak zechcę, to wyjdę, a jak nie zechcę, to nie wyjdę. Najlepiej byłoby, gdybyś sobie poszedł do diabła. Nie licz na to, że zobaczysz mnie wcześniej niż o wpół do piątej, tak jak to ustalił sąd.

— A więc wyjdź punktualnie...

Ta dziwna rozmowa między ojcem a synem stanie się w pełni zrozumiała jeśli opis przytoczonego na wstępie wypadku, poprzedzimy kilkoma wyjaśnieniami.

Broniek był dzieckiem rodziców rozwiedzionych. Rozeszli się gdy miał dwa latka. Matka chłopca, Janina wyszła powtórnie za mąż. Sąd wyrokiem rozwodowym powierzył jej bezpośrednią opiekę nad synem. Broniek więc mieszkał ze swoją matką i jej mężem, którego na życzenie matki nazywał „tatusiem”. Natomiast ojciec Krzysztof, otrzymał prawo ndwiedzania dziecka jeden raz w tygodniu. Ojciec kochał swego jedynaka, ale ta miłość przysparzała mu jedynie cierpień i upokorzeń.

Zyją wśród nas ludzie, których dusze są istnym siedliskiem zła i nienawiści, królującymi niepodzielnie nad rozumem. Do takich ludzi należała matka chłopca. Znienawidziła ona swego byłego męża bez żadnej istotnej przyczyny. Był przecież dla niej dobry, gdy żyli pod jednym dachem. Świadczą o tym chociażby akta procesu rozwodowego, wypełnione w znacznej części zeznaniem świadków. Kiedy jednak poznała innego mężczyznę, swego obecnego męża, Kazimierza, bez żadnych skrupułów porzuciła Krzysztofa. Malo tego, nie ominęła później żadnej okazji, aby wyrządzić mu krzywdę lub przykrość. Najlepszym narzędziem do tego rodzaju poczynań stało się dziecko. Minęło sporo czasu, odbyło się kilkanaście rozpraw w sądzie opiekuńczym zanim Krzysztof mógł korzystać z za-

warantowanego mu wyrokiem rozwodowym prawa widywania syna jeden raz w tygodniu. Oczywiście, te rzadkie z konieczności spotkania z dzieckiem były dla ojca jednym wielkim pasmem udręczeń. Janina nieustannie zasiewała w umyśle i sercu syna nienawiść do byłego męża. Broniek w domu matki nigdy nie słyszał dobrego słowa o ojcu. Od najmłodszych lat wychowywano go w przeświadczeniu, że ojciec to łobuz, kłamca i bandyta, którego ziemia tylko przez wrodzoną sobie cierpliwość nosi na swym grzbiecie. Janinie ogromną radość sprawiała każda przykrość wyrządzana ojcu przez Bronka i za każdą nagradzała syna zabawkami, lalociami, „kieszonkowym” lub pochwałą. Chłopiec szybko nauczył się wykorzystywać te „metody” pedagogiczne matki dla własnych celów. Gdy chciał od niej coś otrzymać lub zaskarbić sobie jej względy, ubliżał ojcu, nie wychodził na spotkanie z nim lub pluł na niego. Z okazji rozpoczęcia obecnego roku szkolnego Broniek dostał od matki w prezencie rower. Na prezent ten zasłużył wymyśleniem publicznym ojca od bydłaków i łobuzów, gdy ten zjawił się w szkole na uroczystej inauguracji roku szkolnego.

Krzysztof tolerancyjnie odnosił się od wybrków syna. Nie miał zresztą innego wyjścia. Widując dziecko rzadko nie mógł kierować jego wychowaniem. Broniek nigdy z ust ojca nie słyszał złego słowa o matce. Jednak w ciągu dwóch godzin spędzanych z ojcem raz w tygodniu, nie mógł on wywrzeć wpływu na syna i kierunek jego wychowania wyznaczała siłą rzeczy matka. Taktowne postępowanie Krzysztofa wobec syna sprawiło, że Broniek na swój sposób przywiązał się do ojca. Nigdy mu na przykład nie ubliżał, gdy w pobliżu nie było matki. Wtedy zachowywał się jak normalnie wychowywane dziecko. Zwierzał się ze swoich kłopotów i radości a nawet tłumaczył się ze swoich wybryków. Mówił na przykład:

— Cóż ci szkodzi tato, że nazywałem ciebie w szkole łobuzem i bydłakiem i nie chciałem się z tobą przywitać? Za to mam rower. Powinieneś się cieszyć, że twój syna trenuje kolarstwo bez żadnego wydatku z twojej strony.

Krzysztof z przykrością słuchał słów syna. Zdawał sobie bowiem sprawę, że jego dziecko wyrasta na cynika i hipokrytę. Tym bardziej że coraz częściej zdarzało się, że i podczas nieobecności matki wstępował w Bronka „diabeł”. Chłopiec przypominał sobie, że po powrocie do domu, musi się czymś pochwalić przed mamą i drugim tatą. I wtedy gorączkowo szukał okazji, aby wyrządzić ojcu jakąś przykrość. Najczęściej stawał się nieposłuszny. Ignorował polecenia ojca. W bieżącym roku udało się Krzy-

sztofowi spędzić z synem cały lipiec nad morzem w namiocie. Oczywiście, stało się to możliwe dopiero w rezultacie rozprawy w sądzie opiekuńczym, ponieważ Janina dobrowolnie nie chciała się zgodzić na wyjazd dziecka z ojcem na wczasy. Nad morzem Broniek zachowywał się przyzwoicie. Ale gdy nadszedł czas napisania listu do mamy, postanowił zrobić tacie jakąś przykrość. Gdy Krzysztof wyszedł do sklepu po zakupy, chłopiec wziął z namiotu nadmuchiwaną materaz i pobiegł nad morze. Samemu nie wolno mu było tam chodzić i taka przekora mogła skończyć się tragicznie. Broniek nawet nie zauważył początkowo, że odpływ znosi go wraz z materacem coraz dalej od brzegu. A gdy się wreszcie zorientował w sytuacji, ogarnął go strach. Na brzegu było pusto, gdyż kąpał się w miejscu odludnym. Tymczasem ojciec wróciwszy ze sklepu pobiegł na poszukiwanie syna. Zobaczył go daleko na morzu, krzyczącego ze strachu. Wyratowała chłopca z opresji jednostki przybrzeżnego ratownictwa okrętowego.

Po tych niezbędnych wyjaśnieniach wróćmy do owego tragicznego dnia, który był ostatnim w życiu Bronka.

O godzinie 16 minut 30 Broniek wyszedł z domu z rowerkiem do czekającego na ulicy ojca i powiedział:

— Musisz mi kupić lusterko motocyklowe do kierownicy, bo

jak ty mi go nie kupisz, to postaram się, żeby to zrobiła mama. A teraz chodź „na glinki”, tam będę jeździł.

Owe „glinki”, to duży staw w dawnej kopalni gliny, znajdujący się na krańcach miasta. Obok stawu wznosi się wysoka góra, którą w czynie społecznym przystosowano do zjeżdżania w zimie na saneczkach. U podnóża góry zrobiono asfaltowe chodniki do jazdy na rowerkach dziecięcych. Pełno tutaj dzieci w każdej porze roku. Na górze rosły pieczarki. Broniek zaproponował ojcu, aby nazbierał grzybów. W tym celu weszli aż na szczyt góry. Broniek zobaczył, że jacyś starsi chłopcy zjeżdżają z góry na rowerach w dół i powiedział:

— Talusiu, ja też chcę tak zjechać.

Krzysztof kategorycznie zabronił chłopcu jazdy. Ale Bronkowi widocznie przypomniało się, że zrobi wielką radość matce, jeśli nie posłucha ojca. Wskoczył na rower i pomknął w dół. Krzysztof krzyknął:

— Hamuj! Hamuj...

Ale chłopiec nie słuchał. Przeciwnie zamiast hamować, zaczął kręcić ile sił pedałami. U stóp góry zahaczył kołem o krawężnik chodnika. Padając, uderzył głową o asfalt. Dalszy ciąg już znamy...

dokończenie na str. 14





1

2



Perłą baroku — jednym z najcenniejszych pomników polskiej kultury artystycznej jest pałac w Wilanowie, który został udostępniony niedawno szerokim rzeszom zwiedzających z kraju i zagranicy. Z warszawiakami jest inaczej — pałac zdążyli zobaczyć już wiele. Przyjeżdżają jednak odwiedzać każdej niemal niedzieli piękny park wilanowski, aby nad stawami, wśród starych drzew i licznych posągów sycić się pięknem otoczenia i wspominać najpiękniejsze dni starej, wilanowskiej rezydencji królewskiej.

Wilanów — nazwa ta wiąże się nierozdzielnie z imieniem pogromcy Turków wielkiego hetmana, a następnie króla Polski Jana III Sobieskiego. To on właśnie tu z dala od gwaru miejskiego stolicy stworzył dla siebie i swoich bliskich wiejską rezydencję zapewniającą mu beztrudny odpoczynek po znojach wojen i trudach sprawowania rządów. Król, gdy zakupił Wilanów, marzył raczej zgodnie ze swoją sarmacką postawą i panującym wówczas kultem sieliskości o ziemiańskim dworze z ogródkiem i malowniczym parkiem z położonymi niżej stawami.

I tak właśnie wygląda Wilanów po pierwszym etapie rozbudowy. Wkrótce jednak król zapragnął zmian, do czego być przyczyniła się jego ukochana żona Marysieńka (z pochodzenia Francuzka) zakochana w sztuce i kulturze Włoch i Francji pod wpływami której znajdowała się w tym czasie Polska i społeczeństwo polskie.

Projekt rozbudowy dekoracji w rezydencji powierzył król najwybitniejszemu architektowi epoki baroku w Polsce spolonizowanemu i nobilitowanemu Holendrowi TYLMANOWI z Gameren. Robotami kierował Polak włoskiego pochodzenia nadworny sekretarz i doradca króla Augustyn Locci.

Król, jak wielu panujących w ówczesnej Europie, wywierał duży osobisty wpływ na kształtowanie się formy architektonicznej i urządzenia oraz dekoracji wnętrz pałacowych. Projekt uległ wielu przeobrażeniom zanim do jego realizacji przystąpiła duża ilość różnych fachowców. W Wilanowie król

Odwiedziny w



3

powołał własną pracownię malarską, do której należeli m. in. Francuz — Claude Lorrain, Włoch — Michel Angel Palloni. W zespole rzeźbiarskim pracami kierował znany rzeźbiarz gdański Andrzej Schlüter (jego dziełem są m. innymi rzeźby na frontonie pałacu). W zespole sztukatorskim znaleźli się Józef Bellotti i działali samodzielnie sztukatorzy wilanowscy Jan i Antoni. Przyjeżdżali także artyści i rzemieślnicy z całej Polski rekrutujący się z różnych dziedzin sztuki i rzemiosła. Wnętrza pałacu otrzymały niespotykane dotąd dekoracje: malowane na płótnie plafony i malowidła freskowe ujęte w obramienia rzeźbiarskie. Na ścianach znalazły się kompozycje malarskie, bądź pokryte je drogocennymi tkaninami z aksamitu, jedwabiu i adamaszku. W komnatach stały piękne meble, zawieszono drogocenne obrazy, ozdoby, wyroby złotnicze i broń. Wiele tych rzeczy sprowadził król z zagranicy: z Włoch, Holandii i Francji, a inne były to dary pochodzące od posłów zagranicznych, dworów królewskich i książęcych, czy przyjaciół króla.

Staropolski dwór ziemiański Sobieskich przemienił się z biegiem lat w uroczy barokowy pałac z szeregiem ciekawych rozwiązań architektonicznych, z bogatymi dekoracjami wnętrz i rzeźbami głoszącymi zawsze i wszędzie pochwałę rodu Sobieskich, czynów wojennych i sukcesów Jana Sobieskiego. Dzięki temu pałac wilanowski stał się wspaniałym pomnikiem ku czci tego wybitnego króla Jan III-go.

Otoczenie pałacu zostało rozwiązane również z dużym rozmachem i smakiem. Dzie-

dziń
ny-p
geom
dwó
rasie
figur
i ów
Na c
taras
gowe
bila
tów
bion
low
du d
most
Kr
„fruk
Bach
czona
się k
garn
był n
wpro
jektu
nie z
17
nym
gatej
wą i
wy s
brała
lowa
ności
cielen
III —
podz
sprze
hetm
niaw
Lo
latac
Sobie
scy j
i ozd
mal
W
lanov

w Po
Deyb
szek
ren
reali
z Jer
nowa
II
przy
lanov
skich
nowa
kasy
ne d
czesn
muze
Po
pańs
Narod
odbu
lacu
także
zione
rozpo
zowa
jacy
formy
niekt
roma
Sze
skieg
wiem
do oc
cy pi
nia
rzeźb
nych

odzielono na gospodarski i paradowy. Za pałacem założony został czyny ogród włoski opadający w ziomach do jeziora. Na górnym tarasie bukszpanowych drzew stały mitologiczne, ozdobne fontanny tu altany o zielono-złoty dachach. Wokół oporowego ujmującego górnego wybudowane zostały dwubienienne schody. Mur i schody ozdobiła z piaskowca z rzeźbami puttów. Pod podestem schodów zropioną grocie ozdobioną niegdyś marmurami.

Pallonię. W dolnej partii ogrodzadzawki, pomiędzy nimi droga na jezioro do wsi Zawady.

W pałacu miał ponadto ogród z drzewami „mi” z umieszczoną w pobliżu „górną” porośniętą winoroślą i zwieńczoną bogą wina. Dalej znajdowały się ogrody pomarańczarnia, fiabudowania gospodarcze. Niedaleko cmentarz i kościółek parafialny, na órego stała wybudowana wg projektu Lucciego parterowa karczma (obecnie restauracja „Kuznia”).

W 1696 r. zmarł w swym ulubionym pałacu król Jan III. Po podziale państwa królewskiej pomiędzy królów (co odbywało się w dość burzliwej atmosferze), wiele cennych dzieł sztuki z pałacu wywieziono do Włoch królewskiej. Wilanów pozostał w rękach Sobieskich. W r. 1714 właścicielem pałacu został najmłodszy syn Jana III, Stanisław August. Po 43 latach władania pałacu w Wilanowie, w r. 1720 Konstancja Potocka wraz z przyległościami pałacu przekazała królowej Elżbiecie Sieniawej.

W Wilanowie układają się w następnych latach. Następujący kolejno po sobie właściciele Sieniawscy, Lubomirscy doskonalili, przebudowywali i pałac wilanowski przez całe wieki.

W II i XIX wieku budowniczymi Wilanowa byli wybitni architekci tego okresu



4



5



6

1. Pałac w Wilanowie front — obraz B. B. Canaletta z 18 w.
2. Przy głównym wejściu na teren dziedzińca pałacowego znajdują się graniaste filary z alegorycznymi postaciami WOJNY i POKOJU. Na zdjęciu Wojna.
3. Pałac w Wilanowie (od strony ogrodu) w szacie zimowej.
4. Jan III Sobieski z synem Jakubem. Portret nadwornego malarza króla Jana TRETKO zwanego TRICIUSZEM.
5. Pokój sypialny w skrzydle płn. pałacu 18 w.
6. Para puttów (amorków) z balustrady ogrodu barokowego.
7. Mauzoleum (grobowiec) Potockich zostało wzniesione w 1836 r. Na zdjęciu fragment ozdób architektonicznych — jedna z czterech, rzeźba lwa wspartego o kartusze herbowe Potockich i Lubomirskich, dzieła K. Hegla.
8. Widok na pałac z pergoli dobudowanej w 19 w. wg projektu F. M. Lanciego.

Foto: Eryk Adamski, A. Zborski, S. Arczyński

7

Wilanowie

Giovanni Spazzie, Jan Zygmunt Zygmunt Zug, Piotr Aigner, Franciszek Lanci. Poza Pallonię i Schütte-ację rzeźbiarsko-malarską pałacu i czołowi artyści polskiego baroku Eleuteriusz Szymowiczem Siemigina czele.

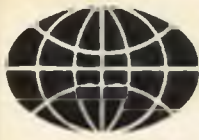
W czasie II wojny światowej i okupacja hitlerowska doprowadziła do zdewastowania pałacu i jego otoczenia. W barbarzyńskich zamierzeniach hitlerowcy planowali zburzenie pałacu wilanowskiego na cegiełki, co nie zostało zrealizowane dzięki różnym zabiegom ze strony ówczesnych właścicieli Wilanowa i polskich władz.

Pałac w Wilanowie stał się własnością państwa — jednym z Oddziałów Muzeum Narodowego w Warszawie. Wiele lat trwała jego rekonstrukcja zniszczonego pałacu i otoczenia. Powróciły do pałacu zbiory wilanowskie wywiezione z okupanta. Prace konserwatorskie rozpoczęły się w r. 1955 i w miarę ich realizacji udostępniane były zwiedzającym. Przywrócić zostały także parki i ogrody wilanowskiemu, w których utrzymano jednak w stylu barokowym.

W pałacu o zabytkach pałacu wilanowskiego nie będziemy. Zachęcamy turystów, którzy tu jeszcze nie byli, przy okazji bytności w stolicy pałacu wilanowskiego i obejrzeć stare komnaty, piękne widoki i wielu zebranych tu cennych dzieł sztuki.



8



Secesja widziana z bliska



Wódz secesji, samozwańczy prezydent Biafry, ppłk Ojukwu.

Wschodnie terytoria Nigerii zostały 30 maja 1967 r. proklamowane jako niezależna Republika Biafra. Od tego dnia nadchodziły liczne relacje o przebiegu walk między siłami biafrańskimi a wojskami rządu federalnego. W następstwie działań wojennych i zwycięstw wojsk federalnych, obszar Republiki Biafra skurczył się do 13 proc. powierzchni istniejącej w dniu ogłoszenia odrębności i obejmuje 9 tys. km kw., czyli mniej niż 1 proc. całej Nigerii. Zamieszkuje go około 5 mln ludzi, co równa się około 8 proc. ludności państwa federalnego.

O Nigerii pisze się wiele, zwłaszcza o dokonywanym przez wojska federalne ludobójstwie na secesyjnym plemieniu Ibo i o głodzie, jako hroni używanej przeciw temu plemieniu. Dla zbadania tych doniesień do Nigerii udała się z ramienia ONZ Międzynarodowa Komisja Obserwatorów, złożona z przedstawicieli Polski, Anglii, Kanady, Szwecji, Algierii i Abisynii oraz osobistego wysłannika sekretarza generalnego ONZ, U Thanta. Przez cały rok, jako przedstawiciel Polski, przebywał w Nigerii płk A. Olkiewicz. Po powrocie do Polski, ogłosił on w prasie wojskowej obszerną relację o sytuacji w walczącym kraju. Skróć tę interesującą relację przytaczamy za „Żołnierzem Wolności”.

Na przełomie roku 1967—1968 kiedy armia federalna zdecydowanie zaczynała uzyskiwać przewagę w walce, a terytorium secesyjnej Biafry zaczęło się coraz bardziej kurczyć, zostało odcięte od morza i roponośne tereny znalazły się w gestii rządu federalnego, potężnie rozbudowany aparat propagandowy Biafry i jej protektorów rzucił do akcji broń najcięższego kalibru — oskarżono rząd federalny i jego armię, że na plemieniu Ibo dokonuje się ludobójstwa.

Ten element wojny psychologicznej był potrzebny secesji na użytek wewnętrzny i zewnętrzny. Ponieważ na froncie sytuacja pogarszała się z dnia na dzień, a w związku z tym morale wojska i ludności cywilnej było nie najlepsze, trzeba było dać podjętą do walki „na śmierć i życie”. Cel akcji propagandowej został osiągnięty. Siły wewnętrzne secesji uległy konsolidacji, co przy

zwiększonej masowej pomocy z zewnątrz, spowodowało względną stabilizację na froncie.

Jeśli chodzi o użytek zewnętrzny, potrzebny do pozyskania propagandowych ośrodków zachodnich, wszelkiego rodzaju organizacji charytatywnych, świeckich i kościelnych oraz niektórych rządów, to chciano zdyskredytować w oczach świata rząd federalny. I ten cel w dużej mierze również został osiągnięty.

Rząd federalny zdecydował się zaprosić Międzynarodową Grupę Obserwatorów. Po raz pierwszy w historii wojen suwerenne państwo, z własnej inicjatywy przysłało obcych obserwatorów o sprawdzenie zarzutów, stawianych przez światową opinię publiczną, jakoby armia federalna dokonywała ludobójstwa na plemieniu Ibo.

Autor relacji pisze: Prowadziliśmy rozmowy z żołnierzami i dowódcami wszystkich szczebli, z ludnością cywilną, z lokalnymi tradycyjnymi przywódcami, z gubernatorami i przedstawicielami administracji terenowej, z przygodnie spotkanymi ludźmi na targowiskach, z misjonarzami rozmaitych wyznań, z nauczycielami, z przesiedleńcami Ibo i innych plemion, z uciekinierami z secesyjnej Biafry, z jeńcami wojennymi oraz z pracownikami Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i innych organizacji charytatywnych. Rozmowy prowadziliśmy wspólnie lub indywidualnie — często w cztery oczy bez asysty ze strony władz czy wojska. Zasada swobody poruszania się i doboru rozmówców była w pełni respektowana. W początkowym okresie działalności grupa obserwatorów przeprowadziła kilka dochodzeń na skutek oskarżeń, jakoby wojska federalne dopuściły się masowych mordów, czy to w zdobytej wiosce Urua Inhilang, czy to w obozach przesiedleńców w Port Harrcourt lub w Elele. We wszystkich przypadkach obserwatorzy jednomyślnie stwierdzili bezpodstawność zarzutów.

Rezultatem działalności obserwatorów było to, że w propagandzie światowej zarzut ludobójstwa praktycznie znikł. Przesztano również oskarżać stronę federalną o masowe mordy, bo te zarzuty były sprawdzane.

Ludobójstwo nie było jedynym zarzutem pod adresem rządu federalnego — morzenie głodem nabrało również wielkiego roz-

głosu na skalę globalną. Opinię światową do głębi poruszono tragedią plemienia Ibo.

Na podstawie rozmów z ludnością cywilną, która przeszła na stronę federalną lub wyszła z ukrycia z buszu oraz z jeńcami wojennymi, posiadam dostateczną ilość dowodów, by stanowczo stwierdzić, że liczby ofiar głodu rozpowszechnione przez aparat propagandowy secesjonistów były w sposób celowy i tendencyjny wyolbrzymiane. Trzeba powiedzieć wyraźnie, że rezultatem każdej wojny są ofiary ludzkie, zniszczenia materialne i nieobliczalne spustoszenia moralne, niedostatki w każdej dziedzinie, a często i głód. I w tej wojnie na pewno były i są ofiary między innymi i na skutek głodu, zwłaszcza wśród tej części ludności, która w wyniku działań wojennych opuściła swoje siedziby i uciekła w busz. Nadmieniam, że busz afrykański nie żywi. Widziałem ludzi wychodzących z buszu, po kilkumiesięcznym tam pobycie — byli oni w opłakanym stanie. Ich sytuacja jednak uległa szybko poprawie, bo najpierw udzielały im pomocy żywnościowej i medycznej oddziały federalne, a potem do akcji niesienia pomocy wchodziły organizacje charytatywne.

Stanowisko rządu federalnego odnośnie do stosowania głodu, jako oręża przeciwko secesji jest zdecydowane i światu znane. Szef tego rządu, gen. mjr Jakubu Gowon kilkakrotnie oświadczył, że głód nie jest i nie będzie bronią przeciwko secesji. To oficjalne stanowisko ma pokrycie w praktycznym działaniu. Rząd w Lagos zaoferował dla akcji niesienia pomocy żywnościowej i medycznej lotnisko w Obilagu, zaproponował utworzenie tzw. korytarza lądowego i wodnego, a nawet akceptował dzienne loty określonym korytarzem powietrznym zgadzając się jednocześnie na przeprowadzenie kontroli ładunków samolotów przez międzynarodowy organ, przyjęty przez obie zainteresowane strony. Te wszystkie oferty zostały przez przywódcę rebelii, Ojukwu, odrzucone; upierał się on przez cały czas tylko przy lotach nocnych. Tą drogą przykrywką dostaw żywności i lekarstw secesja zaopatrywana jest w broń, amunicję i sprzęt wojenny. Wniosek jest prosty — nie tyle o żywność tu chodzi, ile o materiały wojenne.

Tu mówi Hitler

Obywatelka NRF, niejaka Else Hocheder wypuściła na rynek płytę pod tytułem „Z Głównej Kwatery Führera” z fragmentami przemówienia Hitlera, ogłaszającego agresję na Polskę, hitlerowskimi pieśniami wojskowymi, radiowymi meldunkami o zwycięstwach hitlerowskich, komunikatami wojennymi Wehrmachtu oraz reportażem radiowym z triumfalnego przyjęcia, zgotowanego Hitlerowi w Berlinie po zwycięstwie nad Francją. Na nalepcie tytułowej płyty widniały em-

blematy hitlerowskie: swastyka oraz hitlerowski Krzyż Rycerski z łańcuszkiem i mieczami.

Sąd karny w Düsseldorfie nakazał konfiskatę płyty, dopatrując się w niej propagandy reżimu hitlerowskiego. Słuchacz płyty — stwierdził sąd w uzasadnieniu swojej decyzji — mógłby odnieść wrażenie, że wojna była słuszna i sprawiedliwa, a ideologia hitlerowska uzasadniona.

Trudno byłoby się nie zgodzić z tą decyzją sądu w Düsseldorfie. Rzecz jednak w tym, że wyższe instancje sądowe NRF są innego zdania. Bo oto III Izba Karno Najwyższego Sądu Federalnego uchyliła decyzję o konfiskacie płyty. Warto przytoczyć fragmenty uzasadnienia tej decyzji Sądu Najwyższego.

„Fakt — stwierdza uzasadnienie — że płyta może się ogólnie przyczynić do popularyzowania reżimu hitlerowskiego i do upiększania jego ideologii samo przez się nie świadczy jeszcze o tym, iż płyta i jej treść mają na celu kontynuowanie dążeń byłej organizacji hitlerowskiej”. Zdaniem Sądu Najwyższego środki propagandowe mogą być zakazane tylko wtedy, gdy „wykazują wyjątkowe, bojowe i agresywne tendencje”, skierowane przeciw porządkowi wolnościowo-demokratycznemu. Środek propagandowy, by mógł być zakazany, musi wykazywać tendencję do kontynuowania dążeń którejsz z byłych organizacji hitlerowskich. Sąd Najwyższy NRF nie dopatruje się takiej tenden-

cji w płycie „Z Kwatery Głównej Führera”. Także emblematy hitlerowskie na płycie nie rażą specjalnie Sądu Najwyższego. Zdaniem sądu z tego powodu nie trzeba było konfiskować płyty, wystarczyło zamazać swastykę.

To uzasadnienie mówi więcej, niż całe tomy, o niebezpiecznych tendencjach panujących w Niemieckiej Republice Federalnej. Tępa kazuistyka prawnicza konkuruje w nim z perfidią polityczną, frudno bowiem mówić w tym wypadku o zwykłej tępcie politycznej. Najbardziej niebezpieczne w tym wszystkim jest to, że wielu obywateli NRF odczuwa zadowolenie i dumę, że ich państwo ma tak „bezbiasnych i demokratycznych” sędziów.

NAJSTARSZE TARGOWISKO STOLICY

Mroźny zimowy ranek. Zawiewa lodowatym wichrem, poruszającym płachty plandek, które chronią przed mrozem gary już i tak stwardniałej na kość śmietany, krążki żółtego masła. Słońce skrzy się w chrupkim śniegu, błyszczą w zamrożonych zielonych, wyglądających jak atrapy — główkach kapusty. Najodporniejsze na zimową aurę wianki suszonych grzybów, granatowych, pomarszczonych śliwek, pluszowe wiązki majeranku, poutykano na straganie wśród jaj, słoików miodu, wiązanek chrzanu.

Warszawskie targowiska — miejsca, w których od nie wiadomo jak dawno, króluje zakuta w pięć spódnic, kilka grubych swetrów, pikowany szary waciak przelotka. Na tych barwnych kołach owoców, jarzyn a wiosną i latem kwiatami — bazarach można kupić i sprzedać... chyba wszystko. Gdy „nawali” dystrybucją, państwowy i społeczniowy handel, lub gdy poszukuje się czegoś niezwykłego np. solonych rydzyków albo raków — wtedy warszawiak udaje się na Polną lub „pod hale”. To „pod hale” znaczy zupełnie co innego niż do Hali Mirowskiej. Tam bowiem kwitnie handel na wielką skalę, państwowy. Niedarmo więc nazywają ten ogromny dóm towarowy „brzuchem Muranowa” „Pod halami” natomiast mają swe stoiska i stragany, wcisnięte na niewielki wąski plac — „druwatne” przekupki.

Przed siódmą, a latem nawet wcześniej, otwiera się kramy na warszawskich targowiskach. montuje się ze skrzynek i pudełek stoiska, wykiada się barwny towar. Mimo że pod ladami piętują się stosy kur i kurczaków, przekupki ciągną swą nieodmienną strofę: „Do restek, do ostatnich”.

Z nadzieją tramwajów wylewa się tłum kupujących. Większą jego część wchłonie potężny gmach Hali Mirowskiej. To targowisko już od kilku lat zyskało sobie dobrą markę. Wiadomo, po mrozonki — specjalność hali, przyjeżdżają ludzie z najodleglejszych dzielnic. Sąsiedni prywatny handelek jest tylko drobnym uzupełnieniem tego kolosa i nie stanowi dla niego groźnej konkurencji, gdyż zbyt mało znaczącym jest przeciwnikiem, by mógł być niebezpieczny. Żywo natomiast reaguje na braki w zaopatrzeniu hali, co z kolei mobilizuje handlowców z państwowego targowiska do energicznych dostaw towaru. Poza tym te dwa organizmy współdziałają zgodnie. Bo np. klientka, która przyjdzie po kwiaty lub fasolę do prywatnych przekupek, nie ominie przecież hali i kupi tu wiadro, parę skorupki, lub

żelazko do prasowania. Ogromne są obroty hali Mirowskiej, przeciętny, dzienny utarg wynosi ponad milion złotych. A jakie są zarobki przekupek? Tego, tak na pewno nie wie chyba nikt. Na pytanie dotyczące tej sprawy każda z nich odpowiada nieodmiennie: „złociutka przecież ja dziś jeszcze początku nie miałam”. Poza hołsą i bessą — rządzi tu prawo zgola metafizyczne: fart i nie fart.

Na skrawku brukowanego placu krąży tłum przyodagany szczególnym magnetyzmem targowiska. Tu można brać i wybrać, gmerać w stosie warzyw i owoców co prawda nie zawsze pod życzliwym okiem kupowej. Brak sztywnych cen wyzwala w nabywcy drzemającą żyłkę hazardu: „a może uda się coś wytargować, ubić jakiś złoty interes?”

Ale jak najczęściej wyglądają owe interesy: oto z góry przepięknych jabłek, szybkie ręce sprzedawcy, który ma w sobie coś z kuglarza i ekwilibrysty — nakładają torebkę owoców. Dopiero w domu okazuje się, że piękne jabłka, co tak cieszyły oko — zostały na straganie, a nasza torbę napelniono zgnitymi i jakimś prawie że odpadami.

Większość kramarek to kobiety leciwe, po pięćdziesiątce albo i starsze. Zadzierzyste i energiczne jejmoście są już ostatnimi przedstawicielkami tej zanikającej profesji. Ze swymi straganami ściągają pod Halę Mirowską z nieistniejących już wielkich warszawskich targowisk. Z Placu Kazimierza Wielkiego, z Karcelaka z pobliskiej ulicy Pańskiej. Wszedł im w krew ten handelek i nic innego nie potrafią już robić. Nie cierpią siedzenia w domu, nianiczenia wnuków. Nie są potomkami dównych kupieckich rodów. Za czasów ich młodości wyganiała je za „Żelazną Bramę” — tak bowiem przed wojną zwano to targowisko — bieda silniejsza niż obawa przed złą opinią, bo wówczas, wstydem i hańbą był dla młodej dziewczyny handel za Żelazną Bramą i: „na taką — moja złota żaden chłopak nie chciał nawet spojrzeć”. Dlatego też o tamtych czasach mówią niewiele i niechętnie.

Nie zawsze są „pozytywne i ugodowe”, co chwila wybucha jakaś awantura, a to: „pani sąsiadka cenę obniżyła i mój towar teraz nie pójdzie”, a ta znowu zabrała „pani sąsiadce” miejsce, tamta natomiast stanęła tak że „moja wystawa zastania”. Już, już gotowe wziąć się do boju, gdyby... gdyby nie to, że zobaczyły „pana władzę” w mundurze. Wtedy milkną nagle i znowu stają się „pozytywne i ugodowe” by za chwilę wybuchnąć przebogatą wiązaną słów. W



piątki i soboty targ rozciąga się wzdłuż ulicy Marchlewskiego aż po Elektoralną. Brzegi chodników okupują Cyganie ze spółdzielni kotlarskich, oferujący przechodniom patelnie i żelazne garnki, stoją starowinki z pęczkami włoszczyzny, właściciele ogródków, trzymający w rękach torebki ze starannie poukładanymi jabłkami. To ustawiczne wykraczanie handlu z terenu przeznaczonego na ten cel przez miasto oraz zaśmiecanie powodują częste interwencje władz porządkowych.

Święta stwarzają swoisty run. Nie budzące zaufania typy wystają przed wejściami do budynków, miętosząc w grubych łapach delikatne „włosy anielskie”, karty ze złocym napisem „Alleluja” lub odpustowe piłeczki na gumce. Są to „ludzie żyjący z makulatury”, nigdzie nie pracujący bez stałego miejsca zamieszkania — osobnicy, z którymi ciągle walczy milicja. Przyciąga ich wielkie miasto i środowisko bazaru.

„Hultajstwo” i „męt społeczność” pojawili się już w kilka naście lat po założeniu — między dzisiejszą ulicą Marchlewskiego a Ogrodem Saskim — Targowicy. Ten handlowy rynek powstał przed trzema wiekami, na terenie jurydyki Wielopole i szybko obrósł licznymi domami handlarzy, szynkarzy kupców. Po urządzeniu Ogrodu Saskiego oddzielono go od placu wymyślną, barokową bramą żelazną, a dawną Targowicę przemianowano na Żelazną Bramę. Ustawiono kramy przekupniów, rozsiadły się „babki koszykowe”, ciągnęli kupcy. Handel kwitł, rozwijał się panował szczery humor warszawskiej ulicy. Celowały w nim przekupki słynne z chęci zarobku, dobrego serca a nawet... patriotyzmu. Bo np. historia z zaświadczeniem wydana jednej z warszawskich kramarek, niejakiej Magdaleny przez Tadeusza Kościuszkę. Oto co w zaświadczeniu napisano: „Daję niniejsze świadectwo, Magdalenie, która w czasie oblężenia Warszawy oddała wielkie i ważne Ojczyźnie i mnie usługi. Gdy zaś nagrody, jakkolwiek biedna, przyjęła nie chciała, polecam ją pamięci narodu”.

Nie darmo więc, gdy po zamianie pięknej barokowej bramy na nieco skromniejszą — wybudowano około 1841 r. drewniany budynek towarowy — nazwano go „Gościnnym Dworem”. Tej liczącej 160 sklepów — hali targowej patronował złocony posąg Merkuriusza — opiekuna handlu. Gościnny Dwór, lub inaczej „Wielopole” przetrwał, aż do 1939 r. a Plac za Żelazną Bramą wraz z obok leżącym placem Mirowskim były przez wiele dziesiątków lat największymi targowiskami stolicy.

Wielopole mieściło stoiska z konfekcją, tekstyliami, czyli „lokciołką” szkłem i porcelaną. W obecnej Hali Gwardii znajdowały się sklepy spożywcze, baseny z rybami i liczne jatkki z mięsem. Halę Mirowską wypełniały stragany z owocami, artykułami spożywczymi oraz konfekcją „drugiego wyboru”. Poza kupującymi i sprzedawcami, przychodzili tu wystawcy warszawskich kupców, by „przewaćać ceny”. Było bowiem targowisko za Żelazną Bramą giełdą, na której kształtowały się ceny na artykuły spożywcze dla całego miasta. Kto miał „głową do handlu” i szczęście mógł w ciągu jednego dnia zbić sporą kasę — pechowiec lub nieobrotny, poniósł straty.

W czasie okupacji Niemcy zamknęli w getcie ludność żydowską. Targ jednak trwał nadal, lecz w bardzo zmniejszonym zakresie i mimo ciągłych rekwizycji był w dalszym ciągu jedną z podstawowych baz żywnościowych Warszawy. Po wybuchu powstania okupanci gnali przez plac Mirowski wynędzniałych, wyrzuconych ze swych mieszkań warszawiaków. W sierpniowy dzień piekącym żarem z nieba i ogniem z płonących domów odbyła się w Hali masowa egzekucja.

Po wojnie na gmachu wmurowano tablicę z lapidarnym napisem „7 i 8 sierpnia 1944 roku hitlerowcy rozstrzelali w Halach Mirowskich 510 Polaków”. Bezimiennym grobem pomordowanych opiekują się dzieci z 220 szkoły Podstawowej, tutejsze koło Z.M.S. i ... warszawskie przekupki.



WITALIS
KOBYLNICKI

PICASSO i JAN

Kiedy byłem tu przed dziesięcioma laty mistrz był już bardzo stary. Jak wygląda dzisiaj?

Autobus z wysiłkiem wspina się na kolejny szczyt. Andziołówka. To tutaj. Pierwszy przysiółek Istebny, wsi położonej wśród urzekająco pięknego krajobrazu. Z każdej góry inny, wspaniały widok. Istebna — słynie ze swojej sztuki ludowej, tancerzy, do dziś zachowanych pradawnych obrzędów, przyspiewek, jest rajem etnografów, językoznawców, specjalistów literatury ludowej, turyistów, marciarzy i śląskich robotników, łapczywie wchłaniających w zapyłone płuca krystaliczne, ożywcze powietrze.

Teraz tą ścieżką w lewo, w dolinę pod Iaskiem, gdzie przycupnęły trzy zabudowania: stara chałupa, walcąca się, dziś już nie zamieszkała, nowa, z takim tru-

dem wystawiona i szopa — właśnie pracownia artysty. To już będzie moje drugie spotkanie z Janem Walachem. Staruszka Walachowa jak i wówczas, krząta się przed domem zajęta jakimiś swoimi, gospodarskimi sprawami, nie podnosi nawet głowy, ale ta młoda, chyba wnuczka, patrzy z ciekawością. Tak dziadek jest w szopie, trzeba mocno stuknąć, bo słuch ma już nieco przytępiony. Kołatam więc z całą siłą w drewniane wrota opatrzone kartką: Jan Walach, artysta-malarz ur. 8 sierpnia 1884 r. w Istebny. A więc ukończył już 85 lat.

Cierpliwie stukam dalej. Wreszcie słyszę szybkie kroki. Mistrz wciąż jeszcze ma młodzieńczy chód. Otwiera, zaprasza do pracowni, choć widzę, że przeszkadzam, bo w ścierce wyciera ręce jeszcze mokre od farby, na sztalugach leży niedokończony obraz. A przecież mistrz rad jest intruzowi. Sprawdza się raz jeszcze, że artysta musi tworzyć dla kogoś, musi mieć publiczność. Dla Jana Walacha publiczność to zabiłkami turyści, nieraz tacy, którzy przyjechali tu specjalnie, zwabiłi wieścią o chłopie — artyście, a bywają niemile zdziwieni, że to najprawdziwszy chłop jest zawodowym, wykształconym malarzem i to jakim malarzem!

Przeżył swoją epokę. Syn zamężnego kmięcia, od dziecka zdradzał nieprzeciętne zdolności plastyczne. Coś tam wciąż rzeźbił, strugał, smarował węglem po ścianach, patykami po piasku. Ojciec był na owe czasy światłym człowiekiem, więc zwrócił uwagę na te niezwykłe synowskie zamiłowania i postanowił dziecko kształcić. Wyczytał gdzieś, że w Zakopanem doktor Tytus Chałubiński i Helena Modrzejewska zachwyceni pięknem góralskiej sztuki, postanowili dla naj-

zdolniejszych góralczyków założyć szkołę rzemiosł artystycznych. Pojechał więc dziesięcioletni Janek do tej szkoły. Bardzo mu się tam spodobało, swojsko jakoś było, choć i góry inne i inna góralska mowa, ale oswoił się z nowym otoczeniem. Szybko i rychno zaliczono go do najzdolniejszych uczniów. Kończył już szkołę, kiedy nieoczekiwanie zjawił się w niej profesor Mehoffer z krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, jeden ze sławniejszych wówczas malarzy. Obejrzał prace uczniów, pochwalił, ale kiedy zobaczył dzieła Walacha zachwycił się i począł namawiać chłopca do wyjazdu do Krakowa, na Akademię. Nie musiał sławny profesor zbyt długo przekonywać zaszczyconego tym wyróżnieniem chłopca. Jan Walach spakował manatki, wpadł do rodzimnej Istebny i z ojcowskim błogosławieństwem wyjechał do Krakowa. Jednocześnie uczył się w gimnazjum i studiował na Akademii pod kierunkiem ukochanego Mehoffera. Wyczółkowskiego, Malczewskiego, Axentowicza. Godzinami przesadywał w muzeach, kościołach i galeriach, odwiedzał pracownie sławnych artystów, brał udział w niekończących się „młodopolskich” dyskusjach o sztuce, o polityce. Ukończył studia malarskie z wyróżnieniem i w dowód uznania uzyskał dwuletnie stypendium prof. Mehoffera na wyjazd do Paryża i do Włoch.

Stypendium było mizerne, ale młodemu malarzowi wydało się, że raj się przed nim otwiera. W sławnej paryskiej Akademii miał jako kolegów ówczesne sławy, ale szczególnie przypadł mu był do serca również jak i on niewysoki, ale pełen żywiołowego temperamentu Hiszpan, który znał swego obrazu pseudonimem Pablo Picasso. Razem poznawali i odkrywali coraz to nowe, zaskakujące uroki Paryża i razem tę-

knili coraz okrutniej — tamten do palącego słońca Hiszpanii, ten do swoich gór.

Patrzę na mały obrazek z tych paryskich lat: na nim straszliwa powódź, jaka nawiedziła stolicę Francji wiosną 1910 roku. Malarstwo niby typowe dla tej epoki, a przecież już jakieś inne, moderną ożeniona z góralszczyzną, efekt zaskakujący. Latem 1911 roku opuszcza Walach Paryż i udaje się do Włoch. Ale ani uroki Florencji, ani cuda Rzymu, ani galeria Mediolanu nie mogą stłumić coraz bardziej wzbierającej nostalgii za krajem ojczystym, za ukochanymi Beskidami. Maluje Walach wówczas, we Włoszech, obraz symboliczny.

Otrzeputuje go z kurzu, pokazuje. Z ogromną ekspresją pokazana burza na morzu: ogromne, dzikie, bure i spienione fale, olwiane niebo poprzecinane ogniami błyskawic, na horyzoncie rozbity, tonący statek, a na pierwszym planie rozbitkę rozpaczliwie wyciągającą ręce, jeszcze płynię, ale widać, że za chwilę siły go opuszczą, utonie.

Tym rozbitkiem byłem ja — mówi mistrz — kiedy to namalowałem, poczułem — że jeśli zaraz nie wrócę i to właśnie do Istebny — utonę.

Więc powrócił w 1912 roku do wsi rodzinnej, ożenił się z prostą góralką, wziął gospodarstwo tu, na Andziołówce, i nigdy już stąd nie wyjeżdżał dalej jak do Cieszyna.

Gospodarka była biedna, kilka morgów kamienistej gleby, a gospodarz nie nadawał się do pracy na roli. Od początku cała troska o gospodarke, o wszystko to co na wsi zwykły robić mężczyzna i kobieta spadło na Walacha. Kiedy myślę o tym stadle nie wiem kogo bardziej podziwiać:



SLAWOMIR
PIÓRKO



Telewizyjna kuchnia

jego — wielkiego artystę zawsze wiernego sobie i swojej sztuce. czy ją, która dla niego i dla czternaściorga dzieci, które z nim zrodziła, zdobywała chleb powszedni. Patrzyła na męża z uszanowaniem choć wyśmiewali ich ludzie na wsi. bo co to za pan, który nosi się gorzej od najuboższego chłopca i grosza za to swoje malowanie nie widzi i co to za kobieta, która cierpliwie pracuje na takiego trutnia. A choć Walachowa nigdy nie rozumiała sztuki swego męża — zawsze odnosiła się do jego pracy z szacunkiem, może tylko pomieszany z lekką obawą przed potęgą tej siły, której jej mąż tak wiernie i z oddaniem, przez całe swe życie służył.

Jan Walach zaklął w swych drzeworytach całe życie Beskidów. Oto stara żebraczka z koszykiem i workiem przycupnieła pod płotem i wygrzewa na słońcu, utrudzone niekończącą się wędrówką, koślawe, sekatę nogi. oto stara wyrobnicza zgięta pod ciężarem brzemienia chrustu, góral przy siejbie, wóz ciężko nalożony ciągniony przez śmierciele, znużone konie, a to córeczka Marysia wyszła właśnie wieczorem z komory i przyświeca sobie latarnią, bo synkowie smacznie zjadają z jednej miski parującą kartofle, które matka ugotowała na wieczernę, oto Jerzy Probosz, nauczyciel z Cieszyna, etnograf i historyk, człowiek rozmiłowany w Beskidach, który przez całe życie pracowicie wędrował od wsi do wsi, zapisywał, rysował, wypełniał szeregi zeszytów nutowych. W 1941 roku hitlerowcy rzucili starego nauczyciela żywcem psom na pożarcie.

W drzeworytach Jan Walach zawarł zwyczaje, obyczaje i ludzi, których dawno już nie ma. Znał ich wszystkich, przyjaźnił się z nimi. Przeżył ich wszystkich i wciąż maluje niestrudzenie, pracując od brzasku do zmierzchu, w swojej szopie.

Na ścianie wisi oprawiony dyplom: Exposition Internationales des Arts et des Techniques, Paris 1937 — Diplome de Medaille de Bronze — brązowy medal na paryskiej wystawie sztuki i techniki w 1937 roku. Patrzę na wspaniałą dwujęzyczną, kolorową monografię Jerzego Warchałowskiego „Jan Walach z Istebnym” wydaną przez Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie, w roku 1936. Dziś jest to już biały kruk.

Stary mistrz jest bardzo ubogi.

A kosztuje papier i płótno, tusz i drewno, farby. Mistrz zaniechał drzeworytu — nie stać go na papier.

Nie śmiem zapytać: a dzieci? Wykształcił je wszystkie: architekt, inżynierowie, nauczyciele, historyk sztuki, urzędnicy. Może i pomagają, bo z czego by żyli starzy Walachowie? Opuszczam ubożuchną szopę — pracownię wielkiego artysty.

„Już na dobre zadomowiła się w Polsce telewizja. Stała się czymś bardzo powszechnym i niezbędnym. Prezentery, ukazujący się po południu na małym szklanym ekranie, witani są nie tylko jak goście, ale jak starzy przyjaciele. Z panią Wojtczak przynajmniej z dziesięć milionów Polaków jest per Edyta, tyleż osób mówi Irena, Wicherek (redaktor Wicherek-Nowicki powinien zażądać wpisania mu do dowodu osobistego tego Wicherka jako drugiego imienia). Są aktorzy, dla których dopiero telewizja stała się miejscem kariery i popularności. Któż dzisiaj pamięta dawne teatralne i filmowe role Stanisława Mikulskiego? Nawet nasza kochana Poczta Polska listów z adresem Hans Kloss nie odsyła do nadawcy z dopiskiem „adresat nieznany” czy „adresat nie żyje”, nie wysyła ich do Berlina, lecz bez przeszkód do mieszkania naszego prawie że bohatera narodowego. Widać listonosze, czy jak to się dzisiaj urzędowo - wytwornie mówi, doręczyciele, w wolnych od pracy chwilach też przesiadują przed telewizorem.

Na temat programu mówi się różnie. Każdy czuje się na siłach zająć natychmiast miejsce dyrektora Łozińskiego, tego najważniejszego w telewizji człowieka od programu. My, Polacy, jakoś dziwnie kochamy się w udzielaniu bliźnim dobrych rad, programowo używając zwrotu w rodzaju „bo ja to bym...”. Wyobrażam sobie zaraz, co by to się działo, gdyby tak jakimś dziwnym zrzędzeniem losu, dyrektorem programowym telewizji został na przykład długowłosy młodzian mieszkający nade mną. Nie daj nam Boże — jego wraz z gitarą. Co innego ja. Przede wszystkim wyrzuci-

bym z telewizji... zaraz, zaraz, przecież nie o tym chciałem.

Po każdym programie biedni telewidzowie dowiadują się z plansz kto, co i jak. O tym za ile — dowiadują się już nie z plansz, ale od tych, którzy najpewniejsze wiadomości mają tylko z pierwszej ręki.

A wszystko zaczyna się wcale nie tam gdzie się kończy — nie w studio. Spróbujmy więc podpatrzeć jak powstaje program na przykład rozrywkowy.

Po pierwsze scenariusz. Ponieważ musi być pisany do śmiechu więc pisany jest przez satyryków. Jak każdy zawód tak i ten wykonywany jest przez mężczyzn i kobiety (satyryczki?). Satyrycy piszą pojedynczo lub parami (Grodzińska i Jurandot), nieraz parami jednopłciowymi (Gozdawa i Słepień). Jedni sami śmieją się z tego co napiszą, inni natomiast piszą tak, że śmieją się ci, dla których piszą. Osobiście wolę tych ostatnich. Są scenariusze, których właściwie nie ma. Pozornie nielogiczne. Wygląda to tak, że autorzy mają tylko ogólny szkic, a tzw. resztę — w głowie. Prawdziwy kształt widowiska powstaje w trakcie prób, czyli na zasadzie improwizacji. Wśród tego rodzaju autorów najlepsi w konkurencji są — moim zdaniem — Jerzy Gruza i Jacek Fedorowicz.

Oto scenariusz gotowy i zaakceptowany przez wszystkich, którzy muszą to zrobić. Teraz trzeba pomyśleć o współtwórcach programu, a wśród nich o reżyserze. Dalej on będzie już najważniejszy. Od niego zależy, czy najlepszy nawet doucip, nie zostanie tak przedstawiony, że bez narażania się władzom, mógłby go w swoim referacie wykorzystać

przewodniczący Rady Zakładowej. Dobry reżyser potrafi jednak z opowiadania o zajączku, nadeptniętym przez myśliwego, wycisnąć salwy śmiechu. Dla dobra sprawy bierzemy więc tego ostatniego, chociaż niedawno źle się wyrażał o naszym poczuciu humoru.

Zdolny reżyser po przeczytaniu scenariusza powinien zostać nawiedzony przez muzę. Z muzą bowiem pójdzie już jak z płatką. Zaangażuje on więc tych wykonawców, których lubi, bez względu na to, czy potrafią rozśmieszać, czy nie. Podpowie scenografowi jak plastycznie rozwiązać „plan” (w telewizji nie ma sceny, jest plan), który scenograf i tak zaprojektuje według własnych pomysłów. Telewizja polska może poszczycić się, bez przesady, znakomitą oprawą scenograficzną większości swych programów. Zresztą scenografowie są właściwie w swojej działalności niczym nie skrepowani. Do ich dyspozycji stoją magazyny dekoracji, rekwizytów, tkanin, mebli, kostiumów. Warsztaty telewizyjne zatrudniają o połowę mniej pracowników niż niejednen teatr, a wykonują dekorację dla więcej niż stu premier samego Teatru Telewizji w roku. Warunki lokalowe, nawet po oddaniu do użytku Centrum, nie są najlepsze. Chyba z reguły mało kto z telewidzów zastanawia się ile pracy włożono w przygotowanie dekoracji jednego programu.

Większość programów ma swego stałego scenografa (Światowid — Piotr Dygę, Jacek i Agatka — Krystynę Biedrzycką, Tele-Echo i Kariera — Kosę Gustkiewicz, itd.). Są reżyserzy, którzy sta-

(Dokończenie na str. 14).

ODPOWIEDZI LEKARZA

Pani Anna R. — z Pily

Proszę spróbować pić mieszankę z korenia prawosłazu, jałowca i rdestu ptasiego. Trzy części rdestu i po jednej części jałowca i prawosłazu zalać szklanką wrzątku i gotować 15 minut. Pić dwie szklanki w ciągu dnia. Dla poprawienia smaku można dodać łyżeczkę cukru, lub miodu.

Pani Marta C. z Rudy Śląskiej — niestety nie ma radykalnego lekarstwa przeciw wypadaniu włosów. Czasem dobry skutek osiąga się nacierając skórę głowy płynem „L-102” lub wodą żeńszeniową. Wskazana by też była wizyta u lekarza specjalisty. Jednorazowe badanie nie zawsze da pozytywny skutek.

Anonimowa czytelniczka — zapytuje czy długotrwałe picie ziół może być szkodliwe. Na pewno mniej szkodliwe niż używanie leków bez przepisu lekarza.

Oczywiście i w picciu ziół nie może być przesady. Niestety nie pisze Pani ani o jakie zioła chodzi, ani też jak długo i w jakich ilościach je Pani używa.

Pani Lidia K. z Legnicy — operacja w Pani przypadku była konieczna, choć to nie rak, a postać nowotworu dobrotliwego. Zaburzenia mowy i oddechu są pozostałością po zabiegu chirurgicznym. Uważam, że powinna Pani skonsultować się z laryngologiem, który zdecyduje czy będzie potrzebny następny zabieg czy

wystarczy leczenie zachowawcze. Stan Pani na pewno ulegnie poprawie, trzeba mieć tylko dużo cierpliwości, bo to długotrwałe leczenie.

Pani Józefa Ł. z Komornik pow. Poznań — z podanych objawów i dotychczasowego leczenia wynika, że syn Pani choruje na nerwicę serca. Nie jest to schorzenie groźne, ale wymagające długotrwałej kuracji. Być może, że na jakiś czas powinien zmienić pracę. Wskazana byłaby wizyta w Poradni Zdrowia Psychicznego w Poznaniu, Al. Marcinkowskiego 21. Schorzenie to ma bowiem tło nerwowe, a nie organiczne (nie ma zmian w mięśniu sercowym).

ZA WSZELKĄ CENĘ dok. ze str. 7

Oto do czego doprowadziło wykorzystanie przez matkę dziecka jako narzędzia rozgrywek z byłym małżonkiem. Los bywa jednak złośliwy i może surowo ukarać tych, którzy starają się wychowywać swoje potomstwo wbrew prawom natury i wbrew obyczajom społecznym. Broniek żyłby, gdyby posłuchał ojca i nie zjeżdżał z góry. A do takiego nieposłuszeństwa był od malarzkości przyuczony przez matkę. I to przyuczony nie tylko bezpośrednio, ale i pośrednio. Dziecko, które w najbliższym otoczeniu nigdy nie słyszało zgodnych z prawdą opinii o

ojcu, nie mogło nabrać dla niego szacunku. Dziecko nagradzane za nieposłuszeństwo wobec ojca, nie mogło — zgodnie ze swoją naturą dziecięcą — wyrzec się tych nagród. To dziecko zapłaciło najwyższą cenę za błędy wychowawcze matki. Istnieje w naszym społeczeństwie wiele rodzin rozbitych. Liczba rozwodów nieustannie wzrasta, ale małżonkowie, którzy nie chcą ze sobą żyć, muszą pamiętać o jednym: Nie wolno im do osobistych rozgrywek wciągać dzieci bo one płacą za to w ostatecznym rozrachunku.

JERZY ALEKSANDER

TELEWIZYJNA KUCHNIA dok. ze str. 13

le współpracują z tymi samymi scenografami; np. Adam Hanuszkiewicz tylko z Xymeną Zaniewską — Głównym Scenografem Telewizji Polskiej.

Wracajmy jednak do naszego programu. Od tej chwili znajdujemy się w studio. Udało się na czas przygotować plan i zebrać wszystkich wykonawców. Rozpoczyna się próba. Reżyser ustawił całość wcześniej, nie w studio, na sali prób. Teraz okazuje się, że pani Zuzia nie może zrobić tych trzech, tak ważnych dla akcji, kroków bo nie „chwyci” jej kamera, a dla tancerek zabrakło strusich piór (nie dziwnego, strusi raczej w Polsce nawet ze świecą nie

znajdziesz). Jeden z mniej ważnych wykonawców, ale akurat potrzebny do scenki z kamerdynerem, „wybł” na chwilę. Siedzi w bufecie i marzy i roli Hamleta. Pistolet nie wypalił bo nieprawdziwy, po co więc ma się przewracać aktor skoro nie został zastrzelony. Reżyser szaleje i biedny jest ten, kto znajdzie się pod ręką.

Po iluś tam próbach wszystko się klaruje. Zostaje „kupione” przez realizatorów technicznych. Alarm. Za chwilę... jesteśmy na antenie. Czy tylko telewidzowie będą się śmiali. I z czego?

SŁAWOMIR PIORKO

KRZYŻÓWKA NR 5 (51)

POZIOMO: 1) wenecka taksówka, 5) pojazd pogotowia ratunkowego, 9) duchowny buddyjski, 10) wiertło, 11) klika, szajka, 12) nie fachowiec, 13) moralność, 14) chwast z rzepem, 17) nie konserwatysta, 19) kłątwa, 21) siedziba „Mazowsza”, 23) wiejski fartuch, 25) legowisko z desek, 27) z kokosami, 28) zapach spalenizny, 32) opera Rachmaninowa, 33) angielska miara gruntu, 34) zamek albo ciastko, 35) jeden ze stanów USA, 36) imię żeńskie.

PIONOWO: 1) ścienna tkanina dekoracyjna, 2) przywódca włoskich socjalistów, 3) imię monarchów norweskich, 4) rozjemca, 5) walczy z błędami, 6) figura geometryczna, 7) choroba zakaźna, 8) typ aktorów, 15) futrzana narzutka, 16) ułatwia załadunek kolejowy, 18) wrzątek, 20) grecka bogini świtu, 21; utwór muzyczny o podniosłym nastroju, 22) amerykańska Siskawa, 23) miasto powiatowe w woj. białostockim, 24) kraj w Pirenejach, 26) szlak wodny, 29) wartość, znaczenie, 30) 1440 minut, 31) szwajcarski bohater narodowy.

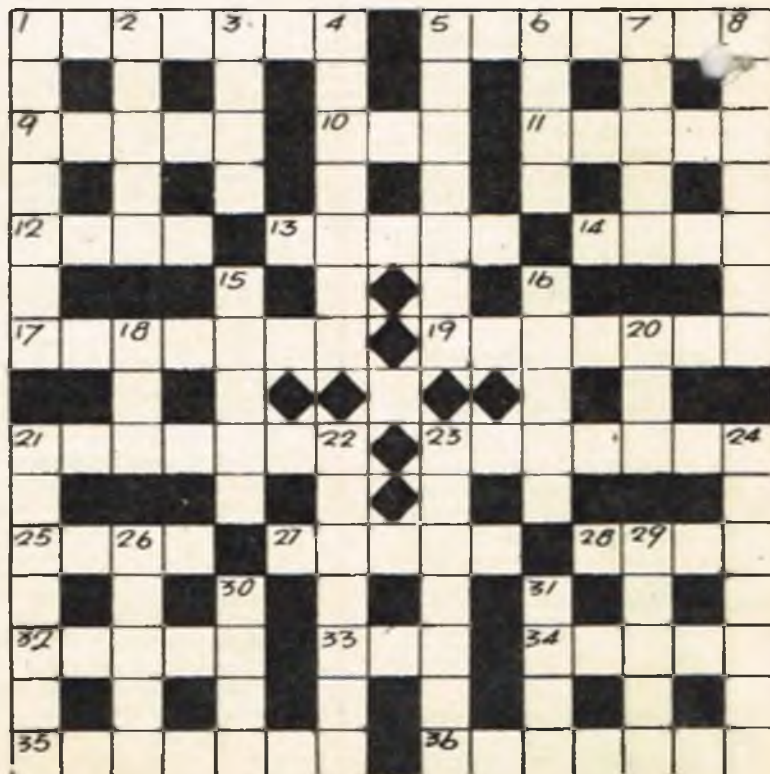
Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem: „Krzyżówka nr 51”. Do rozlosowania: **Komplet książek Zakładu Wydawniczego „Odrodzenie”**

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 45

POZIOMO: polepa, Rzeplcha, tornado, gromada, ocena, próboszcz, kwarcyt, aromat, opłata, sztanga, elegancja, opera monolit, postawa, szkarłat, miotła.

PIONOWO: patronka, lorneta, prababcia, Zagłoba, proso, czaszka, Apacze, kompot, Ostrowski karawana, piernik, ascetka, skarpa, nietakt, termos, Adler.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nagrodę w postaci kompletu książek wylosował: Pan Franciszek Stopka, Czarny Dunajec, pow. Nowy Targ, woj. Krakowskie.



Rozmowy z Czytelnikami

Pan Henryk Łukomy z Nowej Soli prowokuje nas do polemiki na temat papieżstwa jako centrum chrześcijaństwa i m. in. zarzuca: „Zreczenie pomijacie i za rzadko poruszacie tekst z ewangelii św. Jana 21, 15-17”. Chodzi tu o nadanie Ap. Piotrowi władzy duszpasterskiej.

Rzeczywiście tym tekstem rzadko się zajmujemy dlatego, że nie zdają się go znać nasi Korespondenci, albo jeżeli znają, nie wiążą z problemem prymatu Ap. Piotra i słuszenie.

W myśl ogólnych zasad hermeneutyki biblijnej (wyjaśniania zdań) należy stwierdzić, że trzykrotne pytanie Chrystusa „Szymonie, synu Jana, czy mnie mitujesz?” jest wyrazem powątpiewania nie zaś jakiegoś uznania czy przyznania nagrody. Poza tym należy zwrócić uwagę na słowa ewangelisty: „Zasmucił się Piotr, że mu po raz trzeci powiedział: Czy miłujesz mnie?” Gdyby polecenie: „Paś baranki moje” oznaczało przywilej nowy lub awans, nie byłoby powodu do smutku, a chyba należałoby się cieszyć. Skoro jednak Ap. Piotr przyjął smutek, to trzykrotne pytanie wyrażało raczej powątpiewanie. A w co Chrystus wątpił? W szczerłość nawrócenia się Ap. Piotra po trzykrotnym zaprzęstwie w nocy Wielkiego Czwartku. Wprawdzie Chrystus przemawia tu do samego Piotra, lecz przecież tylko Piotr spowodował tę rolę aktem niewierności. Zauważmy, że ewangelijnym tekście nie ma zastrzeżenia, że wyłącznie Ap. Piotr będzie duszpasterzem, a inni nie. Należy się raczej domyślać, że odwrotnie inni Apostołowie będą duszpasterzami bez żadnych ograniczeń, natomiast Piotr otrzyma tę władzę warunkowo i wcale nie większą niż jego koledzy. A Chrystus, odchodząc w zaświaty, nie powiedział im, że muszą słuchać Ap. Piotra.

Takie wyjaśnienie tego tekstu starokatolicy opierają nie na fantazji, lecz na powszechnej nauce Ojców Kościoła. Oto kilka wypowiedzi pisarzy starożytnych Kościoła Zachodniego: „Pytamy się bowiem trzykrotnie tego, co do kogo mamy wątpliwości” — tak pisał św. Ambroży, gdy komentując Ewangelię uzasadniał potrójne zapytanie Chrystusa pod adresem Ap. Piotra (Wykład Ew. Łuk. 10). A gdzie indziej ten sam Ojciec Kościoła twierdzi: „Stąd i Piotra w Ewangelii trzykrotnie pytano, czy kocha Pana, by potrójną odpowiedzią zostały rozwiązane więzy, które zawiązał, zawiązując się Pana” (Migne, PL 16, 797).

Hilary z Poitiers (zwany Atanazym Zochodu) wyjaśnił: „Piotr po wtórnym wyznaniu miłości ku Bogu od siebie żądanym westchnął, smucąc się, że trzecim pytaniem próbuje się go jako wahającego i niepewnego, by następnie po trzecim oczyszczeniu słabości na pokusy zasłużyć od Pana po raz trzeci na słowa: „Paś owce moje”. Św. Hieronim: „Piotr potrójnie zaprzęstwo zmyśl potrójnym wyznaniem” (Ep. 77, 4). Tak samo św. Augustyn: „I ponownie i po raz trzeci to samo, by miłość wyznała to trzykrotnie, czego trzykrotnie wyparł się strach... A co przekazano Piotrowi, co mu polecono, to nie sam Piotr, lecz także inni Apostołowie słyszeli, otrzymali, zachowali a najwięcej ów uczestnik krwi i przesładowań. Ap. Paweł” (Mowa 296, 3 i 5). Nie inaczej głosili Ojcowie Kościoła Wschodniego. U żadnego ze starożytnych pisarzy chrześ-

cijańskich nie znajdziemy myśli o nadaniu Ap. Piotrowi jakiejś wyjątkowej specjalnej władzy duszpasterskiej. Starokatolikom (i polskokatolikom) zupełnie to wystarczy. Ich zasada bowiem głosi, że w to należy wierzyć i to jest katolickie, w co wierzone od początku zawsze, wszędzie i ogólnie.

Pan Stanisław B. z Katowic, rzymskokatolik, w każdą niedzielę o godz. 17 na falach krótkich 31 m. słucha „Głosu Ewangelii z Warszawy” nadawanego przez rozgłośnię Monte Carlo. Ciekaw jest, kto opracowuje te audycje. Pyta również, kiedy się ukaże drugi tom „Historii papieżstwa” (ks. S. Włodarskiego) i gdzie można nabyć książkę pt. „Kościoły chrześcijańskie”.

Wspomnianą audycję religijną, nadawaną (za zgodą władz polskich) przez rozgłośnię radiową Monte Carlo, opracowuje Polski Kościół Chrześcijan Baptystów.

Na razie nie przewiduje się wydania drugiego tomu „Historii papieżstwa”.

Pracę zbiorową pt. „Kościoły chrześcijańskie” wydaną w 1968 r. można jeszcze nabyć w Zakładzie Wydawniczym „Odrodzenie”, który ostatnio zmienił adres i ma swoją siedzibę (w Warszawie) przy ul. Kredytowej 4. Pozdrawiamy.

Pan Józef K. z Poznania wiele ostatnio rozmyśla nad sensem religijnej wiary i wydaje mu się, że ogromny postęp nauki, a zwłaszcza podróże kosmiczne człowieka i odkrycia astronomiczne wcześniej czy później przy religii „postawią znak zapytania”. Pyta się, czy ma sens mówienie o „niebie”, skoro astronomia je wyklucza lub mówienie o Wcieleniu Syna Bożego na ziemi, skoro istoty rozumne żyją też na innych planetach i w innych układach słonecznych?

Odpowiemy krótko, że religia ma sens „mimo wszystko”. Religia to coś więcej niż niby naukowa teoria starożytności o siedmiu niebach, o ziemni jak talerz i o „wodach podziemnych”. Żadne odkrycia naukowe nie zburza chrześcijańskiej nauki o „niebie”, jak telewizji nie ośmieszy nikt, kto by wykazywał jej absurdalność jedynie dlatego, że za pudłem aparatu telewizyjnego nie ma „nic”. Nie wiążemy nieba z żadnym konkretnym miejscem materialnym, do którego można by dostać się rakiętą kosmiczną. Niebo to stan pełnej wiekuistej szczęśliwości duchowej. Wprawdzie wierzymy, że Jezus wstąpił „na niebiosa” z ciałem, lecz dodajmy, że nie było to zwykłe ciało, skoro przechodziło przez drzwi zamknięte. Nie można zresztą wykluczyć świętów zasadniczo różnych od naszego, mających np. cztery wymiary... Istnienie rozumnych istot na innych planetach nie zawiera żadnej sprzeczności z nauką o Wcieleniu Sy-

na Bożego. Stwierdzenie takiego faktu powinno nas pobudzić do większej jeszcze wdzięczności, że Bóg tak troskliwie się zajął mieszkańcami jednej tylko z planet — Ziemi. Podobnie nowe odkrycia naukowe i astronomiczne wzbudzają w człowieku wierzącym podziw dla potęgi i mądrości Stwórcy. Wzmacniają więc jego wiarę, a nie osłabiają. Pozdrawiamy.

A.Z. z Warszawy uznaje wszystkie wyznania za jednakowo „prawdziwe” pod względem teologicznym i chociaż jest „wierzącym i praktykującym rzymskokatolikiem”, chciałby uczestniczyć w sakramentach św. wszystkich pozostałych wyznań, nie jest tylko pewien, czy to byłoby właściwe od strony moralnej.

Ten problem zaprzęta głowy najcięższych i najszczerzych ekumenistów, lecz tak bardzo jest złożony, że na razie nie ma mowy o jego jednoznacznym rozwiązaniu.

Nie sądzimy, by wszystkie wyznania chrześcijańskie były jednakowo prawdziwe w sensie teologicznym. Zdarzają się im przecież zasady sobie sprzeczne. Najprostsze zda się wyjście z tego polegać by mogło na odrzuceniu wszelkich zasad wiary przez wszystkie wyznania i rozpoczęciu od podstaw, lecz nie jest to możliwe z dwóch względów: a) Dziedzina religijnej wiary objawionej nie da się planowo zredukować do zera w celach wznowienia jej budowy od nowa, podobnie jak nie można by z ludzkich serc wyrwać patriotyzmu i ojczystego języka dla celów ogólnoludzkich. b) Przy budowie od zera jednak trzeba by było ustalić jakieś zasady, a wówczas każdy chciałby przeforsować swoje własne poglądy, co wywołałoby jeszcze większy chaos, niż jest obecnie (Nam, Polakom, nie odpowiadałoby ustalenie jako światowego języka innego niż polski). W tej sytuacji pozostaje wspaniałomyślna wyrozumiałość wyznaniowa i wzajemna życzliwość — bez rezygnowania ze swoich przekonań. (Nie wyklucza to jednak dyskretnego protektywizmu czyli działania na rzecz pozyskania nowych zwolenników swojego wyznania).

Wśród wyznań chrześcijańskich są pewne podobieństwa, które zbliżają nieraz tak bardzo, że nie widać istotnych różnic. Według tych podobieństw i różnic można by spróbować podzielić chrześcijan na dwie tylko grupy: na katolickich i na protestanckich. Do pierwszej należą rzymskokatolicy, prawosławni oraz starokatolicy (polskokatolicy). Wierni tych Kościołów mogą przyjmować sakramenty św. dość dowolnie w świątyniach dwóch pozostałych wyznań (np. starokatolicy u prawosławnych i rzymskokatolików, prawosławni u rzymskokatolików i starokatolików, a rzymskokatolicy u prawosławnych i starokatolików). Natomiast lekkomyślne czynne uczestniczenie chrześcijan katolickich w liturgii wyznań protestanckich (i odwrotnie) pociąga za sobą pewne konsekwencje duchowe w postaci religijnego indyferentyzmu i bezwyznaniowości, a to dlatego, że różnice są dość zasadnicze, więc ich przeskoczenie bez głębokiego przeżycia religijnego dowodziłoby religijnego zobojetnienia (lub karygodnej ignorancji religijnej).

Wydawca: STPK Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”. Dyrektor i Redaktor Naczelny — mgr Danuta Iwanowska. Redaguje Kolegium. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Kredytowa 4, telefon 27 03 33. Warunki prenumeraty: Prenumeraty na kraj przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz Oddziały i Delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6 100/20 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Prenumeraty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty: kwartalnie — 26 zł, półrocznie — 52 zł, rocznie — 104 zł. Prenumeratę za granicę, która jest o 40 proc. droższa — przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 20-46-88, konto PKO Nr 1-6 100/21. (Roczna prenumerata wynosi dla Europy 7 dol.; 19,70 DM, 23,40 NF; 1,13,6 £; dla St. Zjeonoczonych i Kanady 7 dol.; dla Australii 21,05 EA, 20,4 £). Można również zamówić prenumeratę, dokonując wpłaty na konto Zakładu Wydawniczego „Odrodzenie” Nr NBP III O M Warszawa, nr 1551-0-35386. Nie zamówionych rękopisów, fotografii i ilustracji redakcja nie zwraca. Nr indeksu — 32518.

Skład i łamanie: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Marszałkowska 3 S. Druk: Zakład Wklesłodrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Zam. 633, K-36

Jak to mularz sandomierski zdrwił z krakowskiego i jakiego to przez to sromu doświadczył



1

Ratusz w Sandomierzu.
Spichlerze.
Kościół

2



3



Podobno Sandomierz i Kraków w jednym czasie murowali. Sandomierz fundował król polski, ale ludzie już nie pamiętają który. Kiedy ten Sandomierz wreszcie skończono murować, wtedy najstarszy mularz sandomierski napisał do najstarszego mularza w Krakowie list z prośbą, żeby mu ten był doradził, co ma dalej czynić; „...bo już ten Sandomierz skończył murować, miasto jest piękne i mamy w nim wszystkiego pod dostatkiem, tylko trapi nas jeden kłopot. Otóż, proszę cię mularzu krakowski doradź nam, co mamy czynić, bo nam się robaki w soli zagnieździły.”

Otrzymał ten list najstarszy mularz krakowski, ale też nie wiedział co radzić.

Idzie więc pewnego dnia bardzo zamyślony, lecz żaden mądry koncept nie przychodzi mu do głowy. Wtem spotyka znajomą staruszkę.

— A czegoś to, mularzu taki zfrasowany? — pyta go.

— A niech tam, widzisz babko, wprowadzie są tu w Krakowie ludzie mądrzejsi od ciebie, ale i oni nie poradzi mi nic, więc chyba i ty też nie wymyślisz mądrego, lecz słuchaj: piszą mi z Sandomierza, że im się robaki w soli zagnieździły i chcą abym im coś pomógł, jak mają się pozłotać soli onych paskudnych robaków.

A wtedy staruszka mu odrzekła:

— Przecie to niepodobieństwo, aby się w soli robaki zadomowiły! — Zakpili sobie sandomierscy mularze z ciebie. — Nie frasuj się więc i tak im odpisz:

Jeżeli macie robaki w soli, to nie ma na to innego sposobu i nic lepiej nie będzie skutkować, jak taka moja rada. Zastawcie Wisłę — ażeby woda dalej nie poszła, potem tę wodę spalcie tak, żeby tej wody w Wisłę nic nie zostało i tym popiołem posypcie w składach waszą sól, jako my czynimy, to w jednej godzinie wszystkie robaki z soli się wyniosą.

Tak też odpisał mularz krakowski do sandomierskiego czym go bardzo zawstydził i ten już więcej do Krakowa głupich listów nie wysyłał.

opr. K. S.